№ 2. Warszawa, dnia 10 Stycznia (29 Grudnia) 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

SIŁA BIERNA.

W sprawach politycznych, ekonomicznych, a zwłaszcza kościelnych Poznańskie objawia niezwykłą energię, czujność i ruchliwość: w sejmach i dziennikach protestuje ustawicznie przeciwko wynaradawianiu, broni zagrożonej zewsząd ziemi, wytwarza dla niej instytucye kredytowe, walczy za swobodę kościoła. I gdyby życie społeczeństwa na tych tylko dziedzinach ograniczało swój obszar, gdyby te tylko dźwignie zapewniały mu siłę i pomyślność, możnaby powiedzieć, że Poznańskie tę pomyślność osiąga. Niestety, zachodzi stosunek całkiem przeciwny. Właśnie bowiem nad Wartą najniebezpieczniej osłabły tętna życia narodowego. Owa polityczno-ekonomiczno-kościelna krzątanina jest tylko rzucaniem się polskich much w niemieckim ukropie, podnoszonym do coraz wyższej temperatury, jest szeregiem bezwładnych protestów i zabiegów około pomyślności dnia... dzisiejszego. Działalności owocnej i obliczonej na dalszą odległość wcale tam nie widzimy. Poznańskie — jako siła twórcza — pozostaje martwem.

Nad tym krajem zawisła złowroga cisza, oddycha on jakiemś grobowem milczeniem. Cała niemal umysłowośćześrodkowała się w prasie. Nie jest to wszakże prasa, któraby obok bieżących spraw praktycznych wprowadzała rezultaty badań naukowych lub wypływy natchnień artystycznych, niema tam ani miesięczników, ani tygodników, wiedzy i sztuce poświęconych, jest to jarmark polityczno-społeczny, w którym myśl teoretyczna, uczucia od chwili oderwane nie przyjmują prawie żadnego udziału. Książka, w Poznaniu wydana, a przechodząca swem znaczeniem po za granice interesów miejscowych — to istotnie rzadki ptak, który wszyscy w lot chwytają i błogosławią. Bez przesady rzec można, że literaturę polską tyle wspomaga Poznań, co np. Kijów.

A przecież istnieje tam poważna i szacowna instytucya, Towarzystwo przyjaciół nauk, które odbywa notowane w pismach ogólnikowo posiedzenia, słucha rozpraw swych członków i rozdaje dyplomy. Dalecy jesteśmy od lekceważenia jego zasług, ale doprawdy trudno zataić fakt, że poważni „przyjaciele nauk" są zbyt senni i mogliby ożywić swoje muzeum dobrych chęci i pogadanek. Że od czasu do czasu Jarochowski przedstawi jakiś ustęp z dziejów panowania Augusta II, lub kanonik Korytkowski odczyta monografię o prymasie Uchańskim — to nie dosyć dla towarzystwa naukowego tam, gdzie życie umysłowe prawie zamarło. Obecnie jego prezes, S. Koźmian chory, konserwator zbiorów, K. Kantecki chory, wice-prezes, dr. Matecki w sędziwej starości szuka coraz częściej odpoczynku — chociaż więc inni przewodnicy i członkowie poruszają zdezelowaną maszynę, zgrzyta ona zardzewiałemi kołami i zatrzymuje się ciągle. Kiedyś zawołano do posłów poznańskich: „świeżej krwi!" — wezwanie to należałoby powtórzyć odnośnie Towarzystwa przyjaciół nauk, któremu przydałaby się obfita transfuzya. Składanie kierownictwa instytucyj publicznych w ręce ludzi, kończących swój żywot zasłużonej pracy, świadczy o wdzięczności społeczeństwa dla swych dobrych synów; ale przybytki wiedzy nie powinny być sypialnemi komnatami emerytów sławy. Nigdy i nigdzie nie może nam iść o dom inwalidów, których ogół każdego z osobna opatrzy i uszanuje ale o młode i dzielne roty zapaśników. Poznańskie niema uniwersytetu, niema wydawnictw wartościowych, niema źródeł literatury; jeżeli więc zabalsamuje jedyną instytucyę życia umysłowego, to czem je zasilać będzie, przypuściwszy, że walka z Bismarkiem w parlamencie i hołdy dla kard. Ledóchowskiego potrzeb duchowych nie zaspakajają?

Wół, broniąc się od wilków, ciągnąć pługa nie może. To prawda — ale nie rozcinajmy węzłów porównaniami i nie szukajmy dla usprawiedliwienia się wymówek, które zwykle należą do argumentów najtańszych. Poznańskie swój byt pojęło zbyt jednostronnie — jako sumę praw politycznych i kościelnych. Rozwój umysłowy, społeczny i artystyczny uważa ono za coś, co mu będzie później przydanem, bez czego dziś obejść się można, co nie stanowi istoty życia każdego społeczeństwa. Zgodnie z takim poglądem, poznańczycy całą wagę swych usiłowań przenieśli na rozszerzanie warunków zewnętrznych a nie na wypełnienie ich treścią wewnętrzną.

Gdy się przerwą posiedzenia sejmowe, gdy landraci lub inspektorowie nie odbiorą nowych rozporządzeń germanizacyjnych, z Poznańskiego nic nie słychać. Jest to kraina bez faktów ogólniejszego znaczenia, bez radosnych nowin. Kto tam powołany do wzmacniania ruchu umysłowego — nie wiemy, ale jeśli są tacy, niech nie topią myśli w leniwej politycznej nirwanie.

OSTATNI ROZBIÓR ŚWIATA.

Tyle razy powtarzano na różne tony i w rozmaitej formie frazes, że żyjemy w przededniu wielkiej, acz nieokreślonej zmiany wszelkich warunków życia, w epoce przełomu pojęć umysłowych, moralnych i stosunków społecznych, aż zdanie to stało się oklepanym komunałem, co jednak nie przeszkadza mu mieć słuszność za sobą. *Novus nascitur ordo rerum*, w konwulsyjnych drganiach przedśmiertnej agonii swej rodzicielki, w męczących bólach trudnego porodu. Powołani i niepowołani akuszerowie starają się przyspieszyć tę

chwilę rozwiązania krwią i żelazem, sztyletem i dynamitem, albo też złagodzić cierpienia chorej ludzkości balsamami prawodawstwa robotniczego, stowarzyszeń, wreszcie kolonizacyi.

Produkcya kapitalistyczna istnieć nie może bez obcych rynków. Dopóki poziom przemysłowego rozwoju różnych narodów europejskich przedstawiał znaczne różnice, zręczniejsze i wcześniej dojrzałe opierać mogły swe istnienie na wyzysku i upośledzeniu młodszych i słabszych. Dziś wszakże w zachodniej Europie różnice te zmalały, albo zupełnie znikły, w zwycięzkim pochodzie kapitalizm dotarł do najodleglejszych zakątków i wszędzie ukształtował stosunki na jedną i tę samą modłę. Wbrew przyjętej zasadzie wolnego współzawodnictwa, przemysł każdego kraju obwarował się szeregami ceł ochronnych. Ale ten środek zabezpieczał go tylko od obcej eksploatacyi: zamknięty we własnej skorupie wegetował on i rozkładał się, nie mając możności pomyślnego rozwoju. W takim stanie rzeczy produkcya kapitalistyczna ma przed sobą dwie drogi: albo rozszerzyć sferę zbytu za jaką bądź cenę, albo ustąpić miejsca formom innym, opierającym się na odmiennych zasadach.

Anglicy zrozumieli to już dawno, ich polityka kolonialna niema zgoła innych celów. Podbój, protektorat, traktaty—wszystko to naprzemian służy im za oręż do dopięcia swych zamiarów, zagarnięcia jak największej liczby rynków. Kiedy od czasu do czasu jaki mąż stanu brytański oświadcza, że Anglia nie dąży bynajmniej do podbojów, prasa i opinia publiczna komentują z przekąsem to oświadczenie, ajednak jest ono najzupełniejszą prawdą. Konserwatystom, czy liberalnym, Beaconsfieldowi, czy Gladstone'owi chodzi zawsze o to samo, żeby „sfera interesów angielskich“ nie została naruszoną, tj. żeby handel i przemysł nie traciły swoich miejsc zbytu. Podbój jest nieraz przykrą ostatecznością, przed którą wszakże nie cofa się Anglia, jeżeli on ją prowadzi do nowych rynków. Podbój zresztą—to drobnostka wobec innych środków działania; faktem jest np. że anglicy *świadomie* zniszczyli miejscowy przemysł Indyj, przemysł, żywiący miliony ludzi i odznaczający się wielkiemi zaletami, ale który przez to właśnie czynił współzawodnictwo manchesterskich wyrobów niemożliwem.

Polityka państw europejskich we wzajemnych stosunkach między sobą uznaje pewne zasady moralne i otwarcie przynajmniej ich nie narusza. Istnieją pewne normy prawa międzynarodowego, pewne względy słuszności, pewne pojęcia sprawiedliwości, które, bądź co bądź, pozyskały powszechną sankcyę i weszły w życie. Palenie spokojnych miast i wiosek, dobijanie rannych itp. zbrodnie zdarzają się i teraz niekiedy, ale wywołują powszechną zgrozę i oburzenie. Przewaga brutalnej siły reguluje i dzisiaj międzynarodowe stosunki, ale przynajmniej szuka pozorów słuszności, podszywa się pod zasady i dopiero tak zamaskowana rozbija i łupi. Obecnie niemożliwą jest wojna tylko w imię zaboru, niemożliwym zabór jedynie z racyi: biorę, bom silniejszy. W gruncie rzeczy tak jest, ale nikt cynicznie do tego się nie przyznaje; męża stanu, który takie hasło wypisał na standarze, opuściłby własny naród. Więc też łupieżcza chciwość szuka innych powodów a usłużna sofistyka dostarcza ich poddostatkiem: prawa historyczne, naturalne granice itp. Obłuda umie zresztą wykroić sobie płaszczyk z każdego materyału i nieraz świętokradzką ręką znieważa takie nawet wzniosłe godła, jak: wyzwolenie uciśnionych i podbitych, pomoc słabszym, zjednoczenie rozproszonych i rozłączonych ludów. Zasada narodowości, gwałcona i poniewierana w czynie, pozyskała ogólne uznanie w teoryi. Nawet prusacy, gnębiący niemiłosiernie słowian u siebie w domu, zabór Szlezwigu i Alzacyi pozorują dążeniem do zjednoczenia wszystkich ludów szczepu germańskiego. W każdym więc razie, jakkolwiek moralność mało ma jeszcze do czynienia w polityce, liczą się z nią wszakże i nie lekceważą jej nakazów. Kłamstwo i obłuda dają sposób ją omijać i oszukiwać, ale tem samem właśnie przyznają racyę jej wymaganiom.

To jednak drobne i czysto teoretyczne zwycięztwo zasad etycznych nad rozkiełznanemi zachciankami samolubnych instynktów ogranicza się tylko do pewnej sfery. Prawo i moralność międzynarodowa nawet w szczupłym zakresie swych wpływów dotyczą jedynie stosunków europejskich i amerykańskich; w innych częściach świata i wobec ludów innej rasy — nie posiadają zgoła żadnego znaczenia. Przedstawiciele najbardziej zdemokratyzowanych społeczeństw europejskich w stosunkach z ludźmi cery oliwkowej i czarnej stają się arystokratami najczystszej wody. Radykaliści francuscy, miotający gromy oburzenia na nierówność stosunków społecznych, chętnie przyznają kredyt potrzebny... do wydarcia anamitom ich ojczyzny. Z azyatami, z murzynami nawet liberalne rządy nie robią sobie żadnych ceremonij. Przemysł i handel europejski potrzebują nowych odbiorców, potrzebują ziemi państwa dla pozbycia się rosnącej wciąż ludności, nie pytając więc o zgodę tuziemców, zasypują ich resztkami zleżałego towaru i żyjącymi odpadkami cywilizowanych społeczeństw. Wybrakowane wyroby i wyrzutki moralne wszelkiego rodzaju grają rolę pionierów wyższej kultury; gwałt, wyzysk, choroby kroczą wślad za nimi i dopełniają wielkiego posłannictwa wytępienia słabszych. Bezwątpienia przemysł i handel należą do potężnych czynników cywilizacyjnych, ale w zetknięciu się z pierwotnymi ludami działanie ich bywa najniewłaściwszem, w skutkach najokrutniejszem. Ludy, których całą winę stanowi odmienne pochodzenie, kultura, której grzechem jest względna młodość i naiwność, formy życia prostacze może, ale najlepiej odpowiadające warunkom miejsca i czasu—ustępują przed naciskiem brutalnej siły, giną nie wiadomo za co — ale wiadomo dlaczego. Dlatego, że ludy inne, rozumniejsze i silniejsze, zamiast szukać lepszej doli w zmianie warunków wewnętrznych swego bytu, szukają jej w krzywdzie cudzej. I te bezlitosne tępienia, ten cyniczny rabunek nazywa się podbojem w imię cywilizacyi, jak gdyby ona opierała się tylko na materyalnej wyższości, jak gdyby najważniejszą jej moralną zdobyczą nie było odrzucenie gwałtu i łupieży w każdej formie.

Takie są przyczyny, takie moralne usprawiedliwienie i cywilizacyjna doniosłość europejskiej kolonizacyi w innych częściach świata. Istniała ona oddawna, ale dziś, wobec zaznaczonego naprężenia stosunków społecznych, nabiera innego nieco znaczenia. W ostatnich czasach zabór ziem.

W STARYM DOMU.

Było jeszcze jedno okno, należące do mieszkania Turskich. Okno to bez bluszczu i firanek, jedyne z tej strony domu, wychodziło na spory ogródek, otoczony z trzech stron ścianami kamienic; kilkanaście grusz i tyleż jabłonek, okadzanych dymem kominów, wiodło tu smutny żywot, usychając bez pory. Pod oknem krzak białego bzu rozrósł się szeroko; wśród gęstych, pokrzyżowanych gałązek wróble gniazdo uwiły; świergotliwe mieszczuchy skakały gdzieś sobie po dachach, po śmietnikach, a tylko o zmroku, wracając na spoczynek, trzepotaniem i szczebiotem ożywiały na chwilę głuchy zwykle ogródek. O zmroku też najczęściej otwierało się owo jedyne okno; siadywał w niem młody chłopak mizerny, schorowany, oparty głową o ramę, przymykał oczy. Spłoszone przed chwilą wróble spoglądały na niego uważnie: bezwładny spokój chorego dodawał im odwagi: po namyśle najśmielszy przefrunął z ogrodzenia na krzak, za nim pospieszyło całe stado. Młody człowiek nie mógł już nawet służyć jako straszydło na ptaki. Straszył za to ludzi. Wszystkie kucharki w kamienicy lękały się go jak upiora. Matki, kołysząc do snu rozkapryszone dzieci, wołały: „Śpij! zobaczysz, że zawołam idyotę! przyjdzie i zje cię, grymaśniku!“ Ile razy wyszedł na dziedziniec dziesiątki głów wyglądały za nim przez okna — a przecież nie był nowością — trzy lata już przeżył w półśnie ogłupienia. Lekarze dawno już podpisali mu patent na idyotę; rodzice mieli jeszcze trochę nadziei: był niegdyś taki zdolny, uczył się dobrze, a gdyby nie choroba, co mu mózg osłabiła, byłby może z czasem uczonym człowiekiem. Matka dziękowała Bogu, że jest spokojnym, awantur nie robi, powoli oswoiła się z jego stanem; nazywała go zawsze „ten,“ jakby dla odróżnienia od dawniejszego Jasia; ojciec zaś, mówiąc o nim; wskazywał głową w stronę jego pokoju: zresztą wspominano o idyocie bardzo rzadko.

— Niechby już sobie umarł — myślała matka; a ile razy przyszedł do stołu bledszy i mizerniejszy niż zwykle, patrzyła mu w oczy niespokojnie, zmuszała do jadła, potem gotowała zioła i inne domowe lekarstwa. Chory przyjmował to wszystko i krzywił usta boleśnie. Nie lubił ludzi; wśród towarzystwa wyglądał jeszcze bardziej cierpiącym; natomiast, podczas księżycowych nocy letnich, kiedy leżąc na łóżku wpatrywał się w oświetloną przestrzeń za oknem, oczy nabierały życia, zdawało się, że myśl nie zgasła w nich zupełnie, że tylko ciało zbyt słabe, wycieńczone, tłumi wszelki objaw umysłowej siły. Rozglądał się po pokoju uważnie, jakby wraz z ciszą nocną wracała dawniejsza pamięć, mrugał oczami, usiłując coś sobie przypomnieć; podnosił głowę zwolna i siadał na łóżku. Łóżko miał stare, skrzypiące, nieboszczyk stryj sypiał na niem przez pół wieku; przy lada poruszeniu szruby, nogi i deski odzywały się po swojemu. Wówczas przez drzwi Julek wsuwał rudą głowę, uśmiechnięty litościwie zbliżał się do brata, układał go napowrót, a przytrzymując za ramię, rozglądał się po pokoju.

— „Czy nie należałoby związać czemkolwiek tego awanturnika? rozmyślał.

Nazajutrz, przy rannej herbacie — opowiadał, że „ten“ znowu dokazywał dziś w nocy, że on, Julek, kilka godzin przesiedział w jego pokoju, że... że Jaś bardzo biedny... szkoda go... taki był dobry... rozumny chłopak... a teraz? Krzywił się przytem jak chora małpa.

Ojciec słuchał i milczał, tylko dolna warga drgała mu coraz silniej; matka niecierpliwiła się widocznie.

— Eh, milczałbyś przynajmniej — mówiła. Już ty pewno nie pożałujesz nikogo. Gadasz, byle gadać! Taki już gadatliwy urodził się—utrapienie czyste!

Nie lubiła go, lękała się nawet trochę. Chytry był i szpiegował ją nieraz dawniej jeszcze, ile razy kupiła sobie ciastek, lub winogron w tajemnicy przed mężem, Julek przewąchał najakuratniej i wsunął się cichutko do jej pokoju, podczas kiedy zajadała w najlepsze — mrugał i uśmiechał się chytrze. Mimowoli dawała mu cząstkę przysmaków: zjadał przy niej w milczeniu; a tylko, gdy spojrzeli na siebie przypadkiem, krzywił się złośliwie! Oh, to był

dotychczas niezajętych, przybrał olbrzymie rozmiary i dosięgnął takiej skali, że przechodzi w pewien rodzaj gorączki kolonizacyjnej. Początek dała Francya, chociaż podobno popchnęła ją ręka z Berlina. Przed paru laty Tunis, obecnie Tonkin, Kambodża, protektorat nad Anamem, w perspektywie — Formoza, w pragnieniach — Madagaskar a w marzeniach — Marokko. Przerażona postępami rywalki Anglia wzmacnia swe stanowisko w Egipcie i wyciąga zbrojną rękę po sudańskie rynki. W zamieszaniu tem ks. Bismark doprowadza do skutku swe kolonizacyjne plany. Niemcy, typowi koloniści, własnych swych osad jednak nie mieli; ale chociaż spóźnili się nieco, starają się powetować brak ten, chwytając, co zostało. Angra-Pequena, północna część Nowej Gwinei, wybrzeża Nowej Brytanii i Nowej Irlandyi, wyspy Samoa, wiele wreszcie punktów na zachodniem i wschodniem pobrzeżu Afryki znajduje się już dziś pod opieką flagi niemieckiej.

Jest to świetny debiut, chociaż w porównaniu z innymi głód niemiecki ograniczyć się musiał skromną przekąską. Mogą wszakże niemcy przytoczyć na swoją obronę, że wzięli wszystko, co się jeszcze wziąść dało. Nawet Włochy urwały kęs ziemi przy zatoce Assab i pożądliwy wzrok swój zwracają na Tripolis. Najświetniejszym jednak pomysłem jest „międzynarodowe państwo Kongo.“ Koncept ten powstał w głowie znakomitego podróżnika Stanleya, który zbadał porzecze Konga, pozakładał faktorye i uprzedził tym sposobem zabór francuski. Nowe państwo miało być rzecząpospolitą; projekt ten później upadł, postanowiono utworzyć monarchię, której koroną miał ozdobić swe skronie król belgijski.

W wykonaniu pomysł ten napotkał konstytucyjne i dyplomatyczne przeszkody; nowy tron więc zajmie który z książąt belgijskich, albo jaki członek jednego z panujących w Europie domów. Tę ostatnią zmianę popiera kanclerz niemiecki, który posiada spory zapas przeróżnych kandydatów do korony na składzie.

Ci, co nie mają już czego złapać, frymarczą posiadanemi ziemiami. Hiszpania za pewne ustępstwa oddaje Anglii protektorat w części wyspy Borneo, a przy układzie tym ks. Bismark jest znowu „uczciwym maklerem.“ Zapewne liczy na wzajemność. Inni oglądają się na około, czy jeszcze nie można urwać bodaj kawałka ziemi. W Korei, na szczęście, wybuchła rewolucya; należy więc przywrócić tam porządek. Ale komu dostanie się ta wdzięczna rola, o którą dobija się tylu aspirantów? Dotychczas w rozbiorze niezajętych jeszcze krajów tylko Rosya nie przyjmowała udziału. Państwo rosyjskie zajmuje tak wielkie przestrzenie, że o rozszerzeniu swych granic nie potrzebuje myśleć. Niedawno zresztą przyłączono Merw. Ale chociażby rząd nie myślał o zaborach, wyręcza go prasa, a zwłaszcza ta jej część, która nigdy i niczem nasycić się nie może. Korea — to przecie najbliższa sąsiadka, dosyć wyciągnąć rękę i wziąść, zanim się ktokolwiek obejrzy. Są to jedynie gazeciarskie projekty, ale malują dobrze charakter chwili. *Moskowskija Wiedomosti* wznowiły stary projekt p. Komarowa i radzą znowu zająć Abisynię, ponieważ ludność tamtejsza jest podobno prawosławnego wyznania.

Prawdopodobnie nawet uczestnicy tej zaborowej orgii nieraz nie zdają sobie dobrze sprawy, po co biorą ten lub ów skrawek ziemi. Niektóre z zajętych miejscowości nie posiadają żadnych widoków na przyszłość. Biorą dlatego, żeby się innym nie dostało... Przypomina to ustęp z jednej satyry Szczedryna, w której podróżujący w Prusach obywatel ubolewał, że Niemcy zajęli słowiańskie ziemie: „Wszystko teraz byłoby nasze,“ a zobaczywszy bociany dodał: „i bociany także.“ „Nieosobliwy ptak“ — zauważył jego towarzysz. „Zapewne, ale zawsze szkoda oddać go komu innemu.“

Ten ostateczny rozbiór świata posiada dla przyszłości doniosłe znaczenie. Littré w jednem z dzieł swoich przepowiada, że za kilkaset lat trzy języki będą panowały: angielski, hiszpański i rosyjski. Na drugim planie stać będą francuzi i niemcy, jeśli zdobędą kolonie; znaczna liczba ludzi mówić będzie po portugalsku (Brazylia). Inne języki odegrają taką rolę, jak dziś duński, albo nawet taką, jak łużycki. Przepowiednia ta zasługuje na uwagę, dla nas zwłaszcza, których przyszłości dotyczy. A może p. Rogoziński zaszczepi płonkę polskiej mowy w górach Kameruńskich — kto wie! Nauczył przecie murzynów pojmować doniosłość odsieczy wiedeńskiej.

Narody, które odraczają naprawę swych stosunków wewnętrznych, otwierając zapomocą kolonizacyi klapę bezpieczeństwa mogą bez trwogi spoglądać w nabliższą przyszłość; ale te, które są pozbawione takiego środka, nie powinny zasypiać również spokojnie.

L.

Sprawa kroacka.

Ciekawem jest wielce zajście, mające wszelkie cechy choroby chronicznej, które cechuje stosunek pomiędzy Kroacyą a koroną węgierską. O co chodzi kroatom? o co węgrom? Po czyjej stronie prawda? Zapytania te cisną się do myśli każdemu, co czyta gazety i dowiaduje się o pretensyach, polemikach, parlamentarnych i ulicznych zaburzeniach, datowanych z Zagrzebia lub do Zagrzebia adresowanych.

Na pozór kroatom nie brak niczego, co potrzebnem jest narodowi do rozwoju naturalnego i normalnego. Czego się domagali, to otrzymali: znajdują się w posiadaniu autonomii zupełnej, zupełniejszej, aniżeli którykolwiek z krajów koronnych, wchodzących do składu monarchii austro-węgierskiej. Czegoż się jeszcze domagać mogą?

— *Die staatliche Selbständigkeit...* — odpowiada dr. Johan Hunfalvy w *Przeglądzie*, zatytułowanym *Ungarische Revue*, wydawanym środkami, do których przyczynia się węgierska Akademia nauki i dzięki przyczynkowi temu, rozciąga nad wydawnictwem tem kontrolę do pewnego stopnia przynajmniej. Kierunek polityczny *Przeglądu* stawać w poprzek nie może kierunkowi, którego i Akademia nauk się trzyma, ta zaś nie może nie licować z kierunkiem ogólnym madziarszczyzny, której jest ona wyrazem naukowym.

A więc Kroaci, zdaniem dr. Hunfalvy, domagają się samoistności państwowej.

Sz. doktor znajduje domaganie się to nielogicznem, niepraktycznem, potwornem prawie—czemu?

---

dzieciak! kiedy całował po rękach, to ją aż w sercu kłuło.

Od najmłodszych lat zrozumiał, że ona w domu nie wiele znaczy, że tu wszystko ojca; lizał się, nadskakiwał mu, a za plecami śmieszył braci, pokazując, jak stary mruży chore oczy, albo jak chodzi zgarbiony. Biła go nieraz za to. Ale on i obity przez chwilę tylko zaciskał zęby a wkrótce znowu całował po rękach.

— Całe szczęście, że pokorny, rodziców szanować umie—mawiała.

Podczas gdy inne dzieci na palcach chodziły, lękając się odetchnąć swobodniej, żeby nie przeszkodzić ojcu w pracy, albo nie zbudzić, gdy spał po obiedzie, on, „lis“ jak go nazywano w domu—nietylko że miał odwagę wślizgać się do pokoju ojca, ale nawet tam z nim zaczynał rozmowę. Prawda, że nieraz całą godzinę stał w kątku, albo u okna, czekając, nim ojciec spojrzy w jego stronę. Zapytany, miał zawsze coś ciekawego do powiedzenia:

— Ta kucharka adwokatów to zawsze pomyje przy naszej stajni wylewa—szeptał jednym tchem.

— Widziałeś?—pytał ojciec krótko.

— Widziałem—dalibóg widziałem. Podkradłem się za płotem i widziałem.

Po chwili w mieszkaniu powstawała burza! Za kucharkę, pomyje i wszelkie nieporządki odpowiadała zwykle żona.

— A to nieszczęście, że nie mam nikogo, ktoby o moje dobro dbał—mawiał w przystępie najgorszego humoru; pracuję—i wszystko diabli biorą!

Byłto najdłuższy frazes, jaki żona, dzieci, sługy i sąsiedzi słyszeli od niego w ostatnich czasach. Matka obiecywała, że kiedyś uszy Julkowi oberwie za plotki. On usuwał głowę w ramiona i śmiał się. Czuł, że odgrywał jakąś rolę w domu, że między krzykliwą matką a milczącym ojcem był jakby wahadłem, podniecającem ruch i czuwanie. Coraz częściej wsuwał się do ojca, matkę zaś przy każdej sposobności całował w plecy, w brzuch i kolana. Odtrącała go niby, w duszy rada była, że choć jeden z synów lgnie do niej. Od starszego nic się nie spodziewała: hajdamaka był, uczył się źle i często wykradał pieniądze z jej komody. Biła go zato najakuratniej, ba, nawet groziła, że ojcu powie. I powiodziała raz wieczorem, przypilnowawszy, że jest trochę mniej zajęty. Słuchał z głową opartą na rękach, a w myślach snuły mu się jeszcze cyfry, rachunki, notaty, od których przed chwilą oczy oderwał; zrozumiał w końcu o co chodzi. Oddawna już myślał o tem, że malcy, pozostawione pod wyłącznie babskim dozorem, na nic porządnego nie wyjdą; że... należałoby... trzeba jakoś to inaczej urządzić. Wprawdzie zapytywał ich czasami podczas obiadu, jakie mają lekcye i czy dobre otrzymali cenzury; na dalsze badanie czasu mu brakło, a w wolnych chwilach siły opuszczały. No, ale trzeba jedna!! Chłopcy bez kierunku mogą wyjść na łajdaków!

— Hm, więc mówisz, że Władek hultaj! to źle... bardzo źle... nauka drogo kosztuje. Ej! Władek, chodź no tu! Matka mówi, że źle się uczysz? Bratku, sam sobie krzywdę wyrządzasz... dziś ludzie bez nauki tylko świnie pasą... to nie dawniejsze czasy!... Cenzurę mi pokazywać akuratnie i pamiętać, że w razie potrzeby rózeg nie pożałuję! Pamiętaj!

Władek pamiętał. Po dwóch latach wypędzony ze szkół, umundurował się na kredyt i wstąpił do wojska. Ojciec nie zaprzeczał, ale zapowiedział krótko, że łajdaka syna znać nie chce. W kilka lat później zapłacił jego długi, a w zamian otrzymał od niego formalne pokwitowanie z wszelkich pretensyj do spadku. Zabezpieczywszy krwawo zapracowaną fortunę, uspokoił się zupełnie. O Władku mowy nie było. Matka tylko pamiętała o nim bez przerwy: pewną była, że wróci kiedyś obdarty, w dziurawych butach, pijak, i że wszyscy na ulicy palcami go wskazywać będą, mówiąc: to syn Turskich! Kiedy przypadkiem ujrzała exwojskowego w podobnym stanie, nogi jej drętwiały ze strachu. Przekonawszy się, że to jeszcze nie Władek—odetchnęła swobodniej. Żebyż przynajmniej jak najdłużej nie wracał.

— Ten trzeci może wyjdzie na człowieka... cherlawy, mazgaj, ale i z takich ludzie bywają. Uczył się dobrze; ojciec dawał mu czasem rubla za dobrą cenzurę; ale nauczony doświadczeniem, zapowiadał jednocześnie, że z domu wypędzi, jeżeli na drugi rok pozostanie w tej samej klasie. Chłopak cherlał, ale pracował! Matka nieraz miała łzy w oczach, patrząc, jak on mało jadł. Karmiła go, jak zdołała najlepiej—

W zakresie pytania tego uczony węgierski polemizuje z patryotami kroackimi, a przedewszystkiem z Józefem Staré, który w wydawnictwie Karola Prochaski (*Die Völker Oesterreich-Ungars*, tom X, 2 połowa) wyraził się, że, po wygaśnięciu wraz ze Stefanem II dynastyi narodowej, kroaci wezwali (1102) na tron króla węgierskiego Kolomana, pod warunkiem atoli, ażeby on i nadal uznawał państwową Kroacyi samoistność. Wskutek tej—ciągnie autor dalej—*unii osobistej* z Węgrami, znaczenie Kroacyi północnej rosło ustawicznie i Agram (Zagrzeb) stał się stolicą zwyczajną namiestnika królewskiego.“ Zaznacza następnie Józef Staré: przyznanie samoistności Kroacyi przez Zygmunta w 1397; niezależny od Węgrów wybór króla po nieszczęsnej bitwie pod Mohaczem, 1526; i niezależne uznanie prawa następstwa tronu po kądzieli na sejmie zagrzebskim w dniu 9 marca r. 1712. Inni idą dalej jeszcze. *Przegląd kroacki* twierdzi, że następcy Kolomana musieli do Kroacyi umyślnie przyjeżdżać, ażeby się osobno na królów kroackich koronować; następca zaś tronu, dla zaznaczenia, jako był spadkobiercą Krzecimierza i Zwinimierza, mianowany bywał zawsze banem Kroacyi. Takie są punkty, na których kroaci opierają prawa swoje historyczne do bytu niepodległego.

„Tak pisać może jeno ten, co prawdę historyczną fałszować chce“—odpowiada dr. J. Hunfalvy. „W wieku XII nikomu ani się śniła unia osobista.“ Szereg faktów, które mają znaczenie historyczne, przedstawia nie unię, ale przejmowanie kolejne panowania nad krainą, zwaną obecnie Slawonią, Kroacyą i Dalmacyą, przez mocarstwa, które, jedno po drugiem, odegrywały rolę powszechnodziejową. Po rozpadnięciu się państwa rzymskiego, kraina ta dostała się cesarstwu Wschodniemu. W wieku VI spustoszyli ją awarowie, w następnym zaś, częścią wespół z awarami, częścią oddzielnie, przybyli serbowie i kroaci i otrzymali od cesarzy bizantyjskich pozwolenie osiedlenia się. Awarów pokonał Karol Wielki i zajął Panonię całą. Wówczas kroaci dostali się pod panowanie Karola Wielkiego, Dalmacya zaś pozostała przy cesarstwie Wschodniem, ale za czasów Karola W. i Nicefora o żadnem królestwie kroackiem mowy nie było. Słowianie na zamieszkałych przez siebie ziemiach potworzyli żupanie i, w zależności od mocarstw zwierzchniczych, rządzili się przez żupanów, których władza mogła być całe znaczną, dzięki odległości, w jakiej okolice te znajdowały się od Akwizgranu i Bizancyum. Madziarowie w w. IX przybyli i kraj po wybrzeże morza Adryatyckiego zajęli. Przed przybyciem ich wytworzyło się było z połączenia żupanij kroackie państewko, które atoli podbojowi madziarów bezwarunkowo podległo. O podboju świadczy Anonim. Patryotyczni historycy kroaccy fałsz mu zadają, nie posiadają atoli faktów, za pomocą których podanie jego, tyczące się pominięcia zaboru madziarskiego do wybrzeży adryatyckich, obalić by się dało. „Bądź co bądź jednak—słowa dr. J. H.—pewnem jest, że od czasów Kolomana dzisiejsza Kroacya i część Dalmacyi należały do korony węgierskiej; dalej faktem jest, że nigdy już Kroacya nie posiadała króla własnego, i że ani jeden ze spadkobierców Kolomana do Kroacyi się nie udawał, ażeby tam się oddzielnie na kroacko-dalmackiego króla koronować. Nigdy o szczególnej kroacko-dalmackiej koronie mowy nie było i ani Staré, ani Bojničić nie są w stanie ową koronę królewską na światło dzienne pokazać.“

Oto rezultat, do jakiego doprowadza opieranie praw na prawach historycznych. W procesie pomiędzy kroatami a madziarami prawa owe występują bez dokumentów, za pomocą których jasno by je postawić można. Jedni utrzymują, że królestwo kroackie podbitem nie było, drudzy—że podbitem zostało; ci twierdzą, że związek istniał na podstawie unii osobowej, owi unii wręcz przeczą, jako zasadzie w wiekach minionych nieznanej. Jedni drugim zarzucają fałszowanie historyi i nie znasz trybunału, przed którym by sprawa ta na korzyść tej lub owej strony rozstrzygnąć się dała, a to z powodu zupełnego braku świadectw prawomocnych. Świadectwa zastępować potrzeba subtelnościami prawniczemi, wybiegami. Kroaci powołują się na instytucyę bana, którą przedstawiają, jako znamię odrębności. Madziarzy odpowiadają na to, że korona węgierska mianowała w Kroacyi banów, jak mianowała wojewodów, rządców prowincyi od korony zależnych. Stanowisko bana niczem się nie różniło od stanowiska, jakie przed bitwą pod Mohaczem zajmował wojewoda siedmiogrodzki, uniezależniony przez Turków dopiero. Takież samo stanowisko zajmował graf Szeklerów i graf Sasów. Krainom i narodom królowie udzielali prerogatyw pewnych, nieoznaczających zgoła owych odrębności w układzie państwowym. Prawnopolityczne położenie Kroacyi takiemże samem było, jak prowincyj innych a określały położenie te prawa, jakich używał i jakie uznawał „naród polityczny,“ to jest ta warstwa społeczna, która prowincye a w prowincyach narody reprezentowała. Warstwa ta w kroacyi węgierską była. Odrębna szlachta kroacka nie istniała. Zrinyowie, Frangepanowie za madziarów się mieli. Zrinyi poeta opiewał Mikołaja Zrynyi, stryja swego, walecznego obrońcę Szigetu, jako bohatera chrześciańskiego i patryotę węgierskiego. „Gdyby z grobu wstał i dowiedział się, że się Starcewicz nim świadczy, wstydem by spłonął i zawołał: *Ne bantsd a magyart!*“

Świadectwo „narodu politycznego“ przemawia—zdaniem naszem—stanowczo za prawami historycznemi węgrów. Naród polityczny w rzeczy samej uznawał się i uznawać chciał węgierskim. Nie zachodził we względzie tym przymus najmniejszy a to dla tej prostej a naturalnej przyczyny, że do końca wieku XVIII o narodowościowych prawach i pretensyach wyobrażenia nie miano. Naród polityczny stanowiła szlachta, ta odnosiła się do państwa i państwa się trzymała na mocy korzyści społecznych, jakie stąd na nią spływały. Stanowiła ona wiązanie prawnopolityczne. Lud się nie liczył, i takie, jak np. językowa, kwestye wagi najmniejszej nie miały, tem bardziej, że tak w części kraju przez madziarów zamieszkałej, jako też w części, w której mieszkali słowianie, językiem urzędowym był łaciński. Język ten usuwał z góry możliwe pretensye innych. Samo to, że miał on znaczenie urzędowe, że brzmiał na sejmach, w radach, w trybunałach, że nim pisane były prawa, samo to pozbawiało lud głosu w sprawach publicznych — czyniło go niemowlęcym. Jakimże by mógł być głos jego, gdy po łacinie nie umiał! W tym względzie lud

---

nic nie pomogło. Jeszcze żeby się poskarżył na żołądek, czy na głowę, można byłoby doktora przywołać! Mówił, że jest zdrów zupełnie, tylko jakoś niczego mu się nie chce. W wolnych chwilach wyszukiwał w ogrodzie kawałek zielonej murawy, kładł się i spał na słońcu; do biegania sił nie miał. Ojciec mawiał, że trzeba będzie koniecznie poradzić się o niego: może to jaka nowomodna choroba. Matka troszczyła się jak umiała: nieraz umyślnie otworzy szafkę z przysmakami. Gdzie tam—ani patrzał w tę stronę.

— No, to już chyba nieludzka dusza w tem dziecku — rozmyślała, wzruszając ramionami.

Kiedy zachorował, pewną była że umrze; takie spokojne i rozumne dzieci rzadko się hodują. Nie umarł i nie wyzdrowiał. Pielęgnowała go troskliwie; nie lubiła jednak, kiedy sąsiadki mówiły o nim z ubolewaniem. Nieszczęście to rzucało mocny cień na ich rodzinne życie; ona zaś chciałaby uchodzić za bardzo szczęśliwą kobietę. W tym celu, mówiąc z sąsiadkami o Władku, kłamała, że się ustatkował, że służba idzie mu wybornie. O Julku już nawet mówić nie mogła! Kiwała tylko głową z wyrazem najwyższego zadowolenia; no a Jaś, biedny wprawdzie, niedołężny, ale czyż nie mają dostatecznych środków do utrzymania go przez całe życie? Załatwiwszy się z opinią ludzką o własnem szczęściu, doznała znacznej ulgi—Bóg mi dał los —powtarzała, myśląc o teraźniejszem swem życiu, biedną dziewczynę wziął taki porządny człowiek!

Zapomniała już, że do tego porządnego człowieka miała niegdyś wstręt niepokonany, że poszła tylko dla chleba, że w pierwszych latach dusił ją nieraz żal, tęsknota za ciepłem, serdecznem uczuciem. Zapomniała, że ten porządny człowiek wziął ją tylko dla zdrowych, silnych rąk, które się żadnej pracy nie lękały! Oh, nieraz przeklinała swoje życie wyrobnicze, męża starego, ponure, chłodne pokoje. Ale gdy sąsiadki unosiły się nad jej dobrobytem, mawiała „dobrze, że choć zazdroszczą!“ i wtedy już lżej jej się robiło.

Teraz wzruszała ramionami na wszelkie dawniejsze grymasy. Była zupełnie zadowoloną ze swego losu. Niegdyś pracowała wprawdzie—teraz za to mogła odpocząć. Od czasu, jak zakupili całą kamienicę, zaczęli żyć coraz wygodniej; z dobrobytem pojawił się miły spokój. Nawet przyspieszone kroki męża nieprzestraszały jej wcale; oddawna już przestała go się lękać, a nawet gdy przemawiał do niej z drugiego pokoju, nie zawsze odpowiadała. Stary osłabł znacznie i coraz częściej zapadał na zdrowiu; w nocy kaszlał tak silnie, że musiała sobie uszy watą zakładać. Zamrze, najpewniej; przecież jest starszym od niej o lat dwadzieścia! Smutno, a nawet strasznie będzie w pierwszych dniach po jego śmierci, pokój jego odnajmę, albo może Julek zechce tam mieszkać. Najlepiej byłoby zupełnie mieszkanie zmienić! Przez lat trzydzieści kilka nie mogła przywyknąć do tej piwnicy! A czy więcej przywykła do męża! Któż to zgadnie. Z początku chodziła przed nim na palcach i drżała na samą myśl, że wkrótce wróci z biura do domu, potem oswoiła się i przeklinała tylko straszne sknerstwo, w końcu stała się skąpszą niż on, ale wdzięczną zarazem, że tak doskonale umiał poprowadzić interesa!

— Co tam mówić, mój stary porządny człowiek, to już Bóg i ludzie wiedzą.

Nie lubiła myśleć, że on wkrótce umrze, na samo wspomnienie o tem łzy miała w oczach. Przedstawiała sobie, jakto znajome sąsiadki, lokatorki będą mówiły:

— Biedna Turska, straciła męża! albo: biedna pani Turska owdowiała!

Nie, nie należało dręczyć siebie zawczasu tak smutnemi myślami! Wiedziała, że w testamencie mąż naznaczył jej dożywotnią pensyę i mieszkanie w starym domu, wiedziała, że i z kapitału coś dostanie. Przyszłość zabezpieczona. To też list dzisiejszy pod względem finansowym wcale jej nie zmartwił—przyznawała, że należało ratować Władka, chociaż jednocześnie żałowała pieniędzy dla łotra. Nieszczęśliwy! Ale pocóż fałszował weksel? Czuje, że sama nigdyby tego nie zrobiła! To młode pokolenie strasznie zepsute. Za jej czasów o takich rzeczach mowy nie było. Czy też mąż poślo mu cośkolwiek? Stary strasznie zawzięty—ciężko zapracowany grosz szanować umie—i ma racyę! Któżby im dał, żeby swego nie mieli! Jednocześnie przychodzi jej na myśl dzisiejszy smaczny obiad: kiwa głową potwierdzająco.

kroacki stał zupełnie na równi z węgierskim, jak z drugiej znów strony tu i tam nie istniała szlachta barwy, czyli narodowości innej, tylko węgierskiej. Ona, jak rzekliśmy wyżej, stanowiła naród polityczny; to przeto, co ona zrobiła, jak ona się stawiała, posiada za sobą moc prawa historycznego zupełną. Odwołując się do prawa tego, kroaci proces swój przegrać by musieli.

W czasach ostatnich jednak zmieniły się warunki prawne pod tym mianowicie względem, że do głosu przyszła ta warstwa, która głosu pozbawioną była.

Czy lud ma prawo za nieważne uznać to, co bez przyzwolenia jego postanowionem zostało?

Ciekawą by na zapytanie to była odpowiedź prawników. Jakakolwiek jednak odpowiedź ta byłaby, faktem jest, że naród polityczny zmienił istotę swoją: do głosu obecnie przyszła warstwa społeczna, która się dawniej nie odzywała. Dawniej stanowiono o niej bez niej; dziś ona stanowi sama o sobie. I przyznano jej takie prawo przez to już samo, że Kroacya uzyskała autonomię, że posiada sejm oddzielny i rząd własny, że w sejmie tym i w rządzie nie wolno posługiwać się językiem innym, jak kroackim. W ostatnim tym względzie kroaci w państwie węgierskiem zajęli stanowisko uprzywilejowane. Na sejmie w Zagrzebiu język węgierski jest zabronionym: ukamienowanoby śmiałka, który by się po węgiersku odezwać odważył; delegatom zaś kroackim w Peszcie służy prawo, gdyby im się tak podobało, przemawiania po kroacku.

Śród takich warunków, gdy w skład „narodu politycznego“ weszły żywioły inne, aniżeli te, co dawniej ten ostatni stanowiły, inne poczucia, inne potrzeby, inne dążenia, inne, słowem, interesy obudzić się musiały. Kroata dawnej daty, szlachcic, ciążył ku państwu, które mu stanowisko jego społeczne poręczało—graf Zrynyi, obrońca bohaterski Szygietu, mógł z czystem sumieniem uznawać się patryotą węgierskim; kroata dzisiejszy poczuwa się cząstką społeczeństwa własnego, odrębnego od narodu, nadającego państwu firmę, która go przestała obchodzić tem bardziej, że, dokoła się oglądając, widzi ojczyznę swoją wydzieloną niejako z otaczającego ją świata słowiańskiego. Czy dokonał się na niej gwałt? czy zaszła co do niej pomyłka jaka historyczna? Czemu Kroacya, Slawonia, Dalmacya, Bośnia z Hercegowiną, Serbia nie stanowią jednej całości państwowej? Złączenie z Węgrami wydaje się kroacie rzeczą nienaturalną i nielogiczną, rodzajem małżeństwa przymusowego, tak źle pod każdym względem dobranego, że utrzymanie w stadle tem zgody jest niemożliwością absolutną. Nie lepiej że się rozwieść w razie takim? Kroaci też rozwodu pragną i do rozwodu dążą, zarówno burzliwi Starcewicze, jak umiarkowani Strossmajerowie.

Dr. J. Hunfalvy, wytykając kroatom dążenie do samoistności, z oburzeniem ironicznem powiada, że chodzi im obecnie, nie, jak przed r. 1878, o „trójjedyne królestwo,“ ów fantastyczny narodowców wymysł, ale o wymysł jeszcze fantastyczniejszy: o królestwo czwórjedyne—o stworzenie państwa, któreby obejmowało Kroacyę, Slawonię i Dalmacyę, jakoteż Bośnię i Hercegowinę, i było zawiązkiem państwa południowo-słowiańskiego, sięgającego daleko w głąb półwyspu Bałkańskiego. Akademikowi węgierskiemu wydaje się to rzeczą niemożliwą — czemu? Czy historya w tej sprawie wypowiedziała już wyraz swój ostatni? Czy wogóle historya wyrazy ostatnie wypowiada? Charakter ruchu nad Sawą Węgrom ogromnie zawadza, ukazując się im w perspektywie pod postacią obniżenia ogromnego znaczenia państwowego korony węgierskiej. Z Kroacyą Węgry są mocarstwem; bez niej spadają ze stanowiska mocarstwowego przez to bodaj już samo, że tracą przystęp do morza—tracą Riekę (Fiume), jedyny, jaki na Adryatyku posiadają, port, który się nazywa węgierskim, jest jednak w istocie kroackim. Gniewają się też na kroatów mocno za zachcianki ich seperacyjne.

Czy w sprawie tego rodzaju gniew co pomoże?

Węgrzy w czasach ostatnich złożyli dowody roztropności politycznej wielkiej; spodziewać się przeto można, że i nad sprawą kroacką zastanowią się kiedyś *sine ira*. W sprawie tej rzecz główną stanowi różnica warunków, odnoszących się do „narodu politycznego,“ Ten ostatni jest już nie ten, jakim był za czasów Maryi Teresy. Nastąpiła zmiana z gruntu. Do zmiany tej stosować się należy i ona bowiem jest historyczną. Na pochwałę madziarów powiedzieć potrzeba, że pomiędzy nimi znajdują się ludzie, którzy położenie własne rozumieją i o wyjściu z trudności za pomocą... nie praw historycznych marzą.

T. T. Jeż.

Z NIEMIEC.

Heidelberg, grudzień 1884.

„Narodowo-służalcza komedya oburzenia“ i jej słownik. — Najnowsze dzieło H. Spencera: I, Nowy toryzm. II, Przyszła niewola. III, Grzechy prawodawców. IV, Wielki przesąd polityczny. — Kierunek wsteczny i postępowy w piśmiennictwie nadobnem. Zdanie Spencera i Gottschalla o powieściach historycznych. — Sacher-Masoch o pani Orzeszkowej.

Jakkolwiek często przypominam sobie, żem nieraz już poprzysięgał nie dotykać w listach moich polityki niemieckiej, jako sprawy mętnej, jałowej i niezabawnej, są jednak takie jej zwroty, zachodzą tak znamienne w niej wypadki, że nie mogę się oprzeć pokusie wywnętrzenia wrażeń moich. Postaram się jednak załatwić to pospiesznie, bo mam do podzielenia się z czytelnikiem przyjemniejszemi i bardziej zajmującemi nowinami.

Zanotować więc muszę tylko znamię czasu i miejsca w zjawisku, zakwitającem na karłowatym poroście parlamentaryzmu niemieckiego. Naród wybiera posłów na sejm; ci odmawiają drobnej stosunkowo sumy, żądanej przez wszechwładnego kanclerza, przy czem prawią się z obu stron niemiłe rzeczy, jak np. o krzywoprzysięstwie urzędniczem; zdaje się, iż sprawa idzie porządkiem naturalnym: rząd prosi kredytów, przedstawiciele kraju jednych udzielają, innych odmawiają, od czegóżby byli przedstawicielami? Ale gdzież tam! Tu dopiero początek. Odmówiono 20,000 marek na wyraźną prośbę księcia kanclerza, połączoną z solennemi zaklęciami i przysięgami, więc hejże na parlament: niegodziwy, bezwstydny, niewdzięczny, re-

---

— Tak, stary ma słuszność. A jednak, żeby miała pieniądze, posłałaby mu choć kilka rubli! Cała fortuna dostanie się temu... lisowi. Mówią, że ojciec przepisał już kamienicę na jego imię; lęka się, że w razie śmierci tamten o swoją część dopominać się zacznie! Ona nie rozumie interesów, męża o nic pytać nie śmie; sądzi jednak, że to wielka krzywda dla tamtego. Listu sama nie odda, położy go tak, że stary musi zobaczyć i przeczytać, ma bowiem zwyczaj oglądać wszystkie zapisane papiery.

W jadalni tymczasem obiad oczekiwał; o kilka zaledwie kroków od stołu na mahoniowej komodzie przykrytej czarną ceratą, leżał list zaadresowany zamaszystem, bardzo czytelnem pismem; koperta, otwarta z boku, była średniej wielkości, na czarnej ceracie dawała się spostrzedz zdaleka! Turska chodziła koło stołu: trochę zasapana, niespokojna, poprawiała obrus, odsuwała talerze, spoglądając co chwilę na drzwi mężowskiego pokoju. Ręce drżały z lekka, jakiś dreszcz przykry przebiegał po plecach... lękała się! Jeszcze żeby ten list nie był pod jej adresem! A to, jak na złość! Stary może pomyśleć, że ona ma tam jakieś konszachty z tym szaleńcem, chociaż Bóg świadkiem, że od dwóch lat literki do niego nie napisała. Coraz większy strach ją przejmuje—przeczuwa burzę! Możeby tego listu nie oddawać?...

Wszedł nareszcie mąż i ujrzał list. Pochylona nad wazą z największą starannością wyławia raki do jego talerza; nigdy jeszcze nie była tak niezręczną: dwie szyjki raków spadły na obrus, brzegi talerza oblane; drży jak w febrze. Byłażby to siła natury jedyna, najsilniejsza i najświętsza zarazem? Czy ten jęk rozpaczy, zaklęty w niemych wyrazach, nie odbija się przypadkiem w jej własnej piersi? A może to głuchy szept sumienia? Nic. Mąż list odczytał uważnie, powoli; trzyma go blisko oczu, gdyż bez okularów bardzo źle widzi; spojrzał na datę, potem w stronę, na komodę, jakby się orjentował ile dni upłynęło od napisania? List złożył i bardzo akuratnie wsunął do koperty.

— A—raki! dobrze, dobrze! — mruknął siadając na zwykłem miejscu; serwetę zawiązał pod brodę i szklannym jakimś, ale spokojnym wzrokiem poprowadził do koła—spojrzał na żonę.

Strach osiadł na dnie jej serca, dreszcz ustał, Turska jakby się na świat narodziła. Pierwszy raz w życiu przyszło jej na myśl, że mąż wcale nie jest tak srogim, że głupią była, drżąc przed nim przy lada drobnostce. Wszedł Julek na palcach, tak zawsze chodził w domu, miał już przepraszać papeczkę i mameczkę, że się spóźnił nieco, w tem spostrzegł list, sięgnął po niego, i nie zmieniając wyrazu twarzy, z uprzejmym uśmiechem przebiegł wzrokiem pismo, spojrzał na datę i list, złożony akuratnie, wsunął napowrót do koperty.

— Ta mameczka, dalibóg, zakarmi nas na śmierć — mówił usiadłszy naprzeciw ojca; codzień jakaś nowalia!

Klaskał językiem, wąchał, przełknął ślinę kilkakrotnie, w końcu nie wytrzymał, pochylił się i ucałował matkę w rękę.

— Eh, raczki wyborne, znakomite! A co tam jeszcze będzie? mrugnął figlarnie lewem okiem; jestem pewny, że jakaś niespodzianka.

Oczki biegały na wszystkie strony, przelotnie tylko zatrzymując się na twarzy ojca. Ten zaś, pochylony nad talerzem, z łyżką wstrzymaną w połowie drogi, spoglądał na niego z pod nachmurzonych brwi.

— A ja dla papeczki lekarstwo przyniosłem—zawołał Julek, a przymrużywszy oczy, spojrzał z przymileniem w twarz ojca. Lekarstwo od kaszlu. Cukiereczki takie maleńkie, smaczne i zdrowe. Papeczko po jednym będzie sobie zjadał, chodząc po pokoju; dzień, drugi, trzeci, a i kaszelek przejdzie. Jak trzeba będzie, to jeszcze pudełeczko przyniosę! Szkoda tylko, że sam przypilnować nie mogę, żeby papeczko akuratnie przyjmował!

— Jakież to cukierki? zapytała matka.

Stary położył łyżkę, oparł się o poręcz i wpatrzony przed siebie szepnął:

— Dziś o trzeciej pójdziemy z tobą do notaryusza!

Przymknął oczy, zdawało się, że słowa te przez sen wymówił.

(D. n.).

Ostoja.

publikański, socyalistyczny, buntowniczy; dalejże zbierać adresy do ks. Bismarka kondolencyjne, winszujące, zachęcające, pełzające, liżące z jednej strony, wymyślające, pioronujące z drugiej. I oto staje nam przed oczami dziwne widowisko: wczoraj wybrany kwiat narodu, przedstawiciele czterdziestu milionów, zaszczyceni zaufaniem i pełnomocą całego kraju, dzisiaj zelżony, zmieszany z błotem za to tylko, że się poważył sprzeciwić w drobnostce znerwowanemu ministrowi. Dla osobliwości wynotowałem litanię epitetów, którymi dzienniki tak zwane narodowo-liberalne osypują ciało prawodawcze, palladyum majestatu narodowego, wybrane wolnymi głosami milionów; przytaczam tu tylko „delikatniejsze:“ Zjadliwe kundle (bissige Köter) — świegotliwe pyszałki parlamentowe — demokratyczno-welficko-żydowskie szkodniki rzeszy (Reichsschädlinge)— puste głowy — nędzne łobuzy — ośleuszy niemieckiego Bartka (Eselsohren des deutschen Michels) — zaraza parlamentowa— baccillus parlamentarius — itd. itd. Wprawdzie i stronnictwa opozycyjne nie zostają w długu, ale nie chcąc, czy nie mogąc zdobywać się na podobne słówka jedwabne, nazywają cały ten zakręt adresowy „narodowo-służalczą komedyą oburzenia“ (national-servile Entrüstungscomödie) i wyświetlają wszystkie jej zakulisowe sztuczki i figielki.

Odwracajmy co prędzej oczy od tego niedonoszonego parlamentaryzmu i przenieśmy je na gniazdo prawdziwego, szczerego życia politycznego. Z Anglii dochodzi nas głos człowieka, o którym nie bez słuszności powiadają, że posiada z żyjących największy wpływ na umysły rodaków swoich. Domyśla się czytelnik, iż mówię o Herbercie Spencerze. Odzywał się on kilka razy w ciągu roku w palących sprawach parlamentarnych ojczyzny swojej; *Contemporary Review* zamieściła cztery te jego rozprawki, a obecnie wyszły one w oddzielnej książce p. t. Człowiek przeciwko państwu (*The Man versus the State*, Londyn, 1884). Składa się ona z czterech rozpraw: I. Nowy toryzm. II. Przyszła niewola. III. Grzechy prawodawców i IV. Wielki przesąd polityczny. Myślą przewodnią wszystkich jest, że w sprawach społecznych i państwowych nie wystarcza panujący dotąd empiryzm i praktyczny utylitaryzm; że potrzeba głębszego obeznania się z naturą ludzką, porównawczego poznania jej w przestrzeni i czasie, tj. w etnografii i dziejach, dla należytego ocenienia faktów dzisiejszego parlamentaryzmu angielskiego i dla możności dalszego zdrowego jego biegu. Rozprawy te są nanapisane z niezrównanym talentem i nieprzepartą argumentacyą, a przytem jasno i dostępnie. Przeznaczone są one głównie dla anglików, ale obok tego mają tyle doniosłości wszechludzkiej, że udostępnienie ich dla publiczności polskiej uważałbym za prawdziwą zasługę tłomacza. Nim to nastąpi, streszczam je tutaj do minimum, odrzucając cały zasób wywodów faktycznych i przykładów objaśniających, podnosząc tylko nić przewodnią i sam rdzeń wniosków filozofa.

Osoby, obeznane z poglądem Spencera na rozwój społeczeństw, wiedzą, że w dziejach i w obecnym stanie ludzkości upatruje on dwa wręcz sobie przeciwne prądy zasadnicze: wojowniczy i przemysłowy. Pierwszy stoi powagą, drugi dobrowolną umową. Tamtem jest organizacyą hierarchiczną, opartą na woli absolutnej czy to jednostki, czy też ciała rządzącego; hasłem jego jest ślepe posłuszeństwo, przewaga interesu państwa nad jednostką, uległość albo śmierć; ten opiera się na równości i wolności członków społeczeństwa, zasadą jego jest świętość umowy, praca przemysłowa i jaknajmniejsze wdawanie się rządu w sprawy jednostek. Typem pierwszego są np. monarchie wschodu, wojsko, kościół katolicki; obrazem drugiego są wielkie stowarzyszenia przemysłowe (np. kolejowe, górnicze itp.), drobne rzeczypospolite (Szwajcarya, Stany amerykańskie itd., chociaż dalekiemi są one jeszcze od ideału grup czysto przemysłowych).

Otóż dwa wielkie stronnictwa, dzielące obecnie ludzkość na dwa zasadniczo sprzeczne z sobą obozy: wsteczno-zachowawczy i postępowo-radykalny, odpowiadają dwom tym postaciom społeczeństwa — wojowniczej i przemysłowej. W Anglii wyraziły się one od wieków hasłami torysów i wigów. Ci ostatni dążyli prawie nieustannie do ograniczenia wszechwładzy rządu; każdy ich tryumf wyrażał się prawie zawsze wywalczeniem jakiejś ulgi dla ludu, jakiegoś dobra dla ogółu; skutkiem tego pojęcie liberalizmu utożsamiło się z pojęciem dostarczania ludowi jakichś dobrodziejstw i sprowadziło zmącenie zasady; nie zawsze bowiem wytargowanie jakiejś ulgi dla klas uboższych jest dobrodziejstwem dla kraju. Owszem, ile razy ulga ta odbywa się kosztem kieszeni, a więc i wolności warstw innych, tyle razy zamiast dobrodziejstwa przynosi się szkodę ojczyźnie. A ponieważ współubieganie się w dostarczaniu coraz nowych ulg skłaniało oba stronnictwa do świadczenia uboższym ze stratą bogatszych, więc tym sposobem wigowie nabrali poniekąd charakteru torysów i ten w nich nowy odcień Spencer nazywa „nowym toryzmem:“ bo jakże inaczej mianować stronnictwo, którego zasadą było i byćby powinno niewdawanie się w regulowanie naturalnego biegu rzeczy, a które ostatnimi czasy otwarcie wstąpiło na drogę mniemanego uszczęśliwiania klas uboższych przez obdzieranie bogatszych? Z licznych przykładów, zacytowanych przez autora, przytaczam jeden. Parlament ustanowił tanie pociągi, obciążające budżet kolejowy (a więc i państwowy) coroczną summą 400 tysięcy funtów. Jest to gwałt, dokonany na mieniu, a zatem i na wolności opodatkowanych. Parlament niema prawa wtrącania się w regulowanie interesów prywatnych, a wigowie, którzy podatek ten wymyślili, weszli na drogę uszczęśliwiania ludu przemocą, czyli stali się wyznawcami teoryi społeczeństwa wojowniczo-patryarchalnego. Autor ostrzega naród o grożącem stąd niebezpieczeństwie, wyliczając cały szereg tej natury projektów, zapowiedzianych przez różne stronnictwa.

Świetnie napisaną filipiką przeciw marzeniom socyalistów i angielskiej „federacyi demokratycznej“ jest druga rozprawa: „Przyszła niewola.“ Ubóstwo, powiada autor, jest koniecznym wynikiem biegu rzeczy; gorsze i słabsze jednostki ludzkie, jak w całej naturze, muszą cierpieć i ginąć; smutne to, ale niema na to lekarstwa. Zresztą bardzo wielu ubogich nie zasługuje na litość, bo są próżniakami i niegodziwcami. „Kto zaś usiłuje oddzielić nędzę od występku, ten walczy z naturą i przysposabia większą jeszcze nędzę,“ bo toruje drogę niewoli. Niewola bowiem jest w gruncie rzeczy przymusem zrzekania się mniejszej lub większej części własności jednostkowej na rzecz innych. Zamiary zaś socyalistów dążą ku upaństwowieniu wszystkiego, całego przemysłu i całej oświaty. Opierają się one na kardynalnem złudzeniu, że z chwilą upaństwowienia ducha i materyi, wszyscy ludzie staną się dobrymi. Straszne zaślepienie! „Któż bowiem wynalazł alchemię, któraby potrafiła ołowiane instynkta na złote czyny przetapiać?“ Za tą niewolą koniecznie przyjść musi despotyzm pojedynczych przywłaszczycieli, a z nim stanowczy powrót do okresu wojowniczego, w którym „społeczeństwo jest armią unieruchomioną, a armia — społeczeństwem zmobilizowanem.“

W „Grzechach prawodawców“ Spencer chłoszcze niedouczonych prawodawców angielskich. Przedstawia im na oczy imienny spis praw, uchwalonych w ciągu bieżącego stulecia i sromotnie prędzej lub później odrzuconych. Za królowej Wiktoryi ogłoszono i skasowano 650 uchwał, dowód, że były niedorzecznemi i nieobmyślanemi. Z r. 1850 przytacza zabawny przykład: sentymentalni lordowie uchwalili budowanie wzorowych domów dla ubogich, kosztem państwa; zaraz po ogłoszeniu tego rozporządzenia pojawił się w dziennikach artykuł jakiegoś budowniczego, który dowiódł liczbami, że gdyby skasowano taksę na ubogich, podatki od domów, materyałów budowlanych i od przechodzenia tytułów własności, to wówczas ci „ubodzy“ bez niczyjej pomocy samiby sobie domy budowali! Prawodawcy nasi, powiada, uczą się wielu rzeczy, ale właśnie nie tych, których im potrzeba. Przedewszystkiem powinniby się przejąć zasadą, że kraj, aby był dobrze rządzonym, potrzebuje jaknajmniej ojcowskiej opieki prawodawców; że rodzinna zasada patryarchalności, a prawa, rządzące społeczeństwami, to rzeczy wbrew sobie przeciwne; że uszczęśliwianie jednych warstw kosztem innych jest najgorszem naruszeniem wolności i własności. Ponieważ życie społeczne rozwinęło się na prawach życia cielesnego i duchowego jednostek; więc obowiązkiem sumiennego prawodawcy jest przedewszystkiem obeznanie się z temi prawami: bez ich znajomości będzie szedł na oślep i widział cele najbliższe, ale nigdy dalszych, prawdziwych. Dalej, musi on znać dobrze dzieje uspołecznienia ludzkiego, dzieje prawodawstwa krajowego i zagranicznego; bez tego pozostanie oportunistą utylitaryzmu, empirykiem, a prawa, przezeń nadawane, zaraz jutro się okażą nieprzydatnemi i ulegną potępieniu i zmianie. Rzecz dziwna, powiada Spencer: biednego aptekarza, gdy w najlepszej myśli da choremu niestosowne lekarstwo, pociągają do ciężkiej odpowiedzialności, a niezdarnym prawodawcom wszystko uchodzi bezkarnie!

Najważniejszym z czterech jest ostatni artykuł: „Wielki przesąd polityczny.“ Tak pełnym jest on treści, wywodów i dowodów, że niepodobieństwem jest streścić go należycie. Podaję przeto tylko samą podstawę rozumowania filozofa. Żadna władza państwowa nie powinna sobie rościć praw do bezwzględnej powagi, żadne prawo do świętości: jest to wielkie złudzenie, przekazane nam przez urok władzy despotycznej okresu wojowniczego, a przez nas nieświadomie przeniesione na parlamenty. Przesądem jest zasada wszechwładztwa większości. Większość wtedy tylko ma uprawnione panowanie, kiedy stanowi o interesach bezwarunkowo wspólnych, a takich są tylko trzy kategorye: obrona od wrogów ościennych, obrona od napastników domowych i pilnowanie świętości dobrowolnych umów pomiędzy obywatelami. Skoro tylko rząd lub prawodawstwo przekracza te szranki, staje się przywłaszczycielem mienia i wolności jednych na korzyść innych. Niewyrozumowanym i zawsze zgubnym jest tedy przesądem zapatrywanie się na głos większości jako niespożyte źródło prawa i powagi; prawa bowiem tyle tylko mają świętości, ile posiadają uświęcenia etycznego i teoretycznego, a panowanie większości jest tak dobrze despotyzmem, jak najgrubszy absolutyzm wschodni. Rolą więc prawdziwego liberalizmu było i będzie zawsze: nieprzysparzanie władzy i powagi sejmów, lecz przeciwnie, ograniczanie ich i sprowadzanie do właściwej roli.

Jeżeli nie wszystkie cztery, to szczególnie ten szkic ostatni polecam zdolnemu tłomaczowi do spolszczenia: ze wszech miar na to zasługuje.

Prawdziwość poglądów i definicyj najlepiej się sprawdza stosowaniem ich do szerszego zakresu zjawisk i faktów. Spencera rozgraniczenie ludzkości i jej dziejów

na działy wojowniczy i przemysłowy, czyli pokojowy, posiada właśnie to znamię prawdy, że się daje niechybnie stosować do wszystkich sfer działalności ludzkiej. Przenieśmy go obecnie na pole piśmiennictwa, aby tą drogą zejść... do pana Sacher-Masocha. I tu prąd wojowniczy i pokojowy przemówią do nas hasłami wstecznictwa i postępu. Przypomnijmy sobie słowa filozofa angielskiego, wypowiedziane przezeń w *Etyce* (przekładu polskiego str. 198): „Porównywając poezyę starożytną, zajętą przeważnie wojnami i łechcącą dzikie instynkty opisami krwawych zwycięztw, z nowożytną, w której krwawe sceny małą grają rolę, a daleko większą uczucia delikatniejsze, skłaniające serca czytelników raczej ku słabszym, dostrzegamy, iż wraz z rozwojem bardziej altruistycznej natury, otworzyła się nowa sfera rozkoszy, niedostępna okrutnemu egoizmowi czasów barbarzyńskich. A prócz tego, pomiędzy dawną a nowszą wyobraźnią ta zachodzi różnica, że gdy tamta prawie wyłącznie zaprzątała się czynami warstw panujących i szukała natchnienia w ich zatargach i gwałtach, nowsza, wybierając przedmioty z życia spokojnego i to w znacznym stopniu z dziejów warstw niższych, otwiera nowy świat zajęcia się codziennemi uciechami i biedami ludu.“

Komuż tu się nie nasunie zaraz podział całej literatury pięknej na dwa główne prądy: idealistyczny i realistyczny? Pierwszy z lubością cofa się myślą wstecz, idealizuje przeszłość, sili się gruby materyalizm ognia i miecza pofarbować złocistemi świecidełkami męstwa, patryotyzmu, poświęcenia i cnoty; drugi śmiało zagląda we wszystkie zakątki dzisiejszej budowy społecznej, nieustraszonem słowem maluje wszystkie jej rysy, wszystkie rany i blizny, portretuje dzisiejszego człowieka i tę podobiznę stawi przed oczy ogółu. Ogół nie lubi być portretowanym; woli aby go łudzono i durzono obrazami minionej wielkości i chwały; usypia z rozkoszą na nutę „naj bude jak buwało“ i całuje z wdzięcznością rękę, która mu narkotyk podsuwa. Raalista nie bywa popularnym: prawda ludzi w oczy kole, spać nie daje, przejmuje obawą, wstydem i zgrozą; więc się mówi o pisarzu realistycznym, że z umysłu dobry nasz światek czerni, że gniazdo kala, życie zatruwa, kraju nie kocha, ma ukryte jakieś złe zamiary, albo, że jest po prostu odstępcą i farmazonem. Więc jaki taki, spróbowawszy sił swoich na obrazkach realistycznych, a zobaczywszy, że ani popularności, ani pieniędzy nie dają, zmyka chyłkiem do przeciwnego obozu, stroi bardon na ład staroświecki i nuci o waleczności żylastych przodków, co to, mospanie, jednem cięciem szabli trzy głowy zwalali; niepomny, że za sprzeniewierzenie się ideałowi młodości i postępu tuż zaraz ukaranym będzie sprzeniewierzeniem się własnego talentu: zamiast tedy laurów Bret-Harta i Gogola, zbiera wawrzyny Dumasa ojca, autora historyi o trzech silnych ludziach i muszkieterów z kontynuacyami, które czas jakiś robiły furorę, a dziś pleśnieją w zapomnieniu.

Przypominają mi się słowa, wyrzeczone niedawno przez filozofa tutejszego K. Fischera. Mówiąc o Schoppenhauerze, wspominał o matce jego Joannie; była to w swoim czasie niezmiernie lubiona i czytana autorka bardzo licznych romansów „z awanturami:“ zdawało się spółczesnym, że sława jej dorówna Homerowi i Goethemu; tymczasem następne już pokolenie tak ją zapomniało, że jeżeli o niej wspomina, to chyba tylko jako o matce myśliciela frankfurckiego. Taki los czeka wszystkie romansidła niby-historyczne, dodaje Fischer, tak modne w dzisiejszej dobie literatury niemieckiej. A tymczasem znakomite studya z natury takiego Daudeta lub Zoli przetrwają wieki, bo są dokumentami historycznymi, bo są żywą, drgającą prawdą, uwięzioną w formie kunsztownego opowiadania. Jak dalece niemcom przejadły się romanse tak zwane „archeologiczne,“ albo „profesorskie,“ widać ze świeżego artykułu R. Gottschalla, jednego z najlepszych krytyków spółczesnych, w styczniowym zeszycie miesięcznika *Nord und Süd*. Po obszernym przeglądzie powieści historycznych, angielskich i niemieckich, tak on rzecz swoją kończy: „Bezstronny badacz przyszły, wziąwszy pod drobnowidz krytyki cały zasób obszernej tej literatury, w bacyllusie archeologicznym uzna po prostu zarazek chorobny.“ Czemże są doprawdy prawie wszystkie powieści historyczne, chociażby z talentem pisane? Odbiciem odbicia odgłosu faktów; dziesiątą wodą, w której spłukano prawdę historyczną. Woda ta zaś działa nawet niezdrowo, gdy tendencyjnie służy do podsycania ideałów okresu wojowniczego, gdy karmi potomków wspomnieniem i ubóstwieniem tylko żylastości i muskularności przodków; mieli przecież oni oprócz ciała mózg i serce; nietylko rąbali się i grabili, ale myśleli, pisali, mówili, uchwalali prawa, podnosili głowy przeciw różnym uznanym powagom i potęgom. Czyż zawsze tylko walecznością ich chlubić się będziemy?

Urok i prawda realizmu działa tak nieprzeparcie, że poskramia nawet tak wrogo ku nam usposobione natury, jak pana Sacher-Masocha. Nie wiem, czy siła talentu autorki *Meira Ezofowicza*, czy ogólny ton wszechludzkiego współczucia i miłosierdzia, brzmiący w jej utworach, czy sympatyczne przedstawienie żydów w tej mianowicie powieści, tak dalece oczarowały dotychczasowego czerniciela polaków, że w ostatnim zeszycie miesięcznika swojego *Auf der Höhe* wystąpił z tak niespodzianemi dla nas uczuciami, iż godzi się zwrot ten wyraźnie zaznaczyć.

Nie powtarzam tu wstępu, którym pan S. M. poprzedza swój referat; zbyt on jest powierzchownym i niedokładnym rzutem oka na dawne dzieje piśmiennictwa polskiego. Mówiąc dalej o wpływie realistów na najnowsze powieściopisarstwo, znajduje, że „polacy wnieśli do realizmu cały swój idealizm i zapał i dlatego powieściowa ich literatura stoi wyżej od rosyjskiej... Turgieniew był także idealistą, ale jakimś zrezygnowanym i bez nadziei; nie zdołałby on nigdy napisać takiego *Michałka* albo *Meira*... Polacy (Sienkiewicz, Okoński, Bałucki) okazali się wdzięcznymi uczniami realistów francuskich i oddają piękniejszem za nadobne, tak iż dziś wszyscy mogą się od nich uczyć (słuchajcie!): anglicy, francuzi i rosyanie idealnego pojmowania i uzacniania rzeczywistości, niemcy — prawdy i plastyki w obrazowaniu, żywości kolorytu, prostoty i klasyczności stylu. Pod tymi względami powieść pani Orzeszkowej jest prawdziwym skarbem, przez wschód nam ofiarowanym.“ Dalej charakteryzuje szczegółowo i nader pochlebnie ten utwór i powiada, że „zawiera on rozdziały, które można postawić obok najlepszych i najszczytniejszych w piśmiennictwie całego świata;“ przytoczywszy najpiękniejsze sytuacye, dochodzi do wniosku, że pani O. lepiej zna i maluje żydów polskich od takiego np. Fransoza, który, choć sam jest żydem, ale nie miał możności poznać własnych rodaków, bo się oni odeń usuwali, jako od odstępcy, gdy tymczasem przed panią O. otwierali domy, czując w niej szczerą przyjaciółkę i chlubiąc się zaszczytem jej przyjaźni.

Najciekawszem jest zakończenie artykułu Sacher-Masocha. „Dobra książka, powiada on, piękna poezya więcej znaczy, niż pochód zwycięzki; w pewnych razach miewa ona znaczenie proroctwa. Uważaliśmy polaków za zgubionych, i to nie dlatego, że stracili samodzielność, ale dlatego, że tam, gdzie odzyskali wpływ i znaczenie, w Galicyi, popadli na nowo w stare błędy i grzechy, które ich niegdyś w przepaść strąciły, prześladując tam ludzi innej wiary i innego plemienia. Ale wraz z tą książką przeniknął do nas promień, obiecujący lepszą przyszłość. Naród, posiadający takich wieszczów i takie kobiety, jak Eliza Orzeszkowa, nie może być skazanym na zagładę“ itd.

Trudno uwierzyć, że tak pisze ten sam pan Sacher-Masoch, który nas tak srodze dawniej potępiał i czernił. Spytać wolno, czy się nie mylił dawniej, odsądzając nas od czci i wiary, i czy się my nie pomylimy, chcąc wierzyć obecnie w szczerość jego nawrócenia...

Jan Karłowicz.

SOCYOLOGIA A. MICKIEWICZA.

II.

Wyobrażenia społeczne Mickiewicza nie są nowe, ani oryginalne. Główne zasady jego socyologii głosiła już szkoła Lamenistów we Francyi, a jeszcze pierwej rewolucya francuska, wierząca w urzeczywistnienie idei swobody, wszechwładztwa ludu i równości obywateli. Ks. Lamennais wydawał od r. 1830 razem z Montalembertem, Lacordairem i kilku innymi słynny dziennik p. t. *L' avenir* (Przyszłość), w którym rozwijał chrześciańsko-socyalistyczną teoryę społeczeństwa, usiłując skłonić duchowieństwo do rozbratu z władzą świecką i do powrotu w czasy pierwszych wieków chrystanizmu. Po upadku starszej linii Burbonów w rewolucyi lipcowej, kiedy francuzi porwani ruchem rewolucyjnym odsunęli się od kościoła, młodzi cipisarze katoliccy, chcąc zbłąkane owieczki zapędzić nazad do owczarni, stanęli *pod sztandarem demokratyczno-liberalnym.* Z ks. Lamennais i hr. Montalembertem żył Mickiewicz od czasu poznania się w Rzymie w ściślejszych stosunkach. Świadectwem jego wpływu na nich jest przekład *Ksiąg pielgrzymstwa* na język francuski z przedmową Montalamberta i z hymnem do Polski przez Lamennais'go. *Księgi pielgrzymstwa* dały temu ostatniemu „pierwszą myśli formę“ do jego wielkiego dzieła p. t. *Les paroles d' un croyant.* Ale z drugiej strony przejął się i Mickiewicz zasadami proroka miłości bliźniego i ubóstwa, zasadami, zwróconemi przeciwko władzy królewskiej, która nie mając podpory w wierze, miłości i w szczęściu ludów, ma runąć z egoizmu. Uczucia patryotyczne poety pędziły go w tę stronę — wszechwładztwo ludu i upadek tronów miał dla niego bliższe, bezpośrednie znaczenie a hasła chrześciańskiej wolności i braterstwa ludów, zaczerpnięte z ewangielii, znalazły odgłos w sercu i wyobrażeniach gorliwego wiary katolickiej apostoła, jakim był wówczas Mickiewicz. Że znał pisma Lamennais'go, dowodzi list do Lelewela, pisany jeszcze z Drezna (32 marca 1832). Któż ich wreszcie nie znał na emigracyi? Był to jeden z francuzów, którzy *szczerze* płakali nad nami. On pierwszy z cudzoziemców grób Polski nazwał jej kolebką... I Montalembert, par Francyi, głosił podobne zasady, i on uważał sprawę polską za sprawę ludzkości i jak ona nieśmiertelną. Tę „świętą i niepokalaną“ anielicę stawiał za wzór, za ideał społeczeństwa, jej męczeństwo miało być odkupieniem, nową erą przyszłej wolności świata. I Montalembert również wierzył w święty związek ludów, w bliski koniec europejskiego despotyzmu i materyalizmu, w zwycięztwo idei wiary, poświęcenia i wolności. I on uderzał taranem w ten kolos europejski, co jedną nogą sumienie narodów, a drugą ich wolność deptał.

Wogólności wielki wpływ na społeczno-polityczne poglądy Mickiewicza wywierała współczesna katolicka publicystyka w Paryżu. Dzieliła się ona na kilka partyj: legitymistów albo gallikanów reprezentował dziennik polityczny *Quotidienne*. Tej *Codziennicy* nie cierpiał Mickiewicz, głównie dlatego, że uważała religię tylko za maskę; o niej to powiadano, że się żegna w Imię Ojca a potem Burbona a na końcu w imię Ducha Świętego. Jako „urodzona nieprzyjaciółka wszelkiej wolności“ występowała wrogo w sprawie polskiej, rozszerzając kłamstwa i potwarze. Walcząca z karlistami, przeciwna im w zasadach i dążeniach szkoła republikańsko-katolicka z księdzem Lamennais na czele skupiła się przy *L' avenir*; gazetę tę czytywał Mickiewicz, jak cała emigracya już dla tego, że mocniej niż inne zajmowała się sprawą polską, kiedy dzienniki liberalne zaledwie o niej wspominały. Pośrednie stanowisko zajęło stronnictwo, którego organem było *Revue européenne*, idące w teologii za szkołą Lamennais'go, w polityce ciążące ku sferze *Codziennicy*. Republikanom, czyli t. z. opozycyi, której przedstawicielami były *National* i *Tribune* (dzienniki często wspominane w *Pielgrzymie*) nie przyznawał poeta szlachetnych celów i uważał je tylko za *tymczasowych* przyjaciół; łączył się z nimi jedynie w tej złudnej nadziei, że zapomocą tych „rewolucyonistów“ wywróci z gruntu teraźniejszy porządek społeczny. Największym, nieubłaganym jego wrogiem było *juste-milieu*. O innych pismach francuskich, broniących gorliwie sprawy polskiej, jak np. *Les Polonais*, nie wspominam, bo wyobrażenia stąd płynące nie tryskały samorodnym strumieniem, ale były sztucznie przez emigrantów zasilane.

Zmianę ustroju społecznego przepowiadali także Lamartine, Chateaubriand, w Niemczech Schelling i wielu innych pisarzy filozofów i poetów; wspomina o nich poeta na wstępie do swoich myśli o sejmie polskim, więc widocznie nie zostały bez wpływu na niego. Nie były mu też obce usiłowania patryotów niemieckich, domagających się instytucyj liberalnych i zrealizowania odwiecznych praw człowieka. Na poglądy Mickiewicza oddziałała także niemało ówczesne jego czytanie *wyłącznie* dzieł religijnych takiego mistyka, jak Saint Martina lub Baadera i książek w rodzaju Scherin von Prevosta. Poglądy społeczne jego miały też poprzedników i krzewicieli w pismach i stronnictwach emigracyjnych. Gołe słowa równości i wolności otrzaskały się już oddawna o uszy polaków; każdy szlachcic polski rad wykrzykiwał przy kielichu: „Niech żyje wolność i równość.“ Tylko że nigdy zasad tych nie wykonywano u nas. *Nowa polska*, pismo założone na początku 1831 r., wzywa w swym programie do „zmiany konstytucyjnego porządku,“ domaga się „liberalnego urządzania towarzyskich stosunków i stanowczej przewagi ludu,“ współczesne zaś wypadki uważa za początek „nowej ery ludów i wolności.“ W raporcie deputacyi emigracyjnej z 29 lutego 1832 r. występuje wyraźniej idea braterstwa ludów. „Sprawa narodowa — są słowa deputacyi — w tak ścisłym jest stosunku z przyszłymi losami Europy, że obce nawet ludy miłość jej uważają za węzeł, łączący wszystkich, którzy nad dobrem ludzkości pracują, zachęcając siebie nawzajem do odzyskania wydartych sobie praw człowieka i wydania despotyzmowi, przesądom i nadużyciom stanowczej walki.“ Partya demokratyczna na emigracyi nie ograniczając się do własnej swobody, usiłuje „wrócić masom wydarte im prawa i sprawę polską zrobić powszechną sprawą wolności.“ Rozmarzeni sympatyą ludów, rzucających zwycięzonym kwiaty pod nogi, układają socyologowie emigranccy zupełny system braterstwa narodów, który pozostawia podobno na długo jeszcze szlachetnym marzeniom idealistów politycznych, organicznej bowiem spójni sprzecznych żywiołów i interesów Europy spodziewać się na realnej podstawie niepodobna. Zatknięcie sztandaru ludowego na emigracyi było tylko naprawą błędu rewolucyi listopadowej, która nie zrobiła sprawy narodowej sprawą ludu. W nienawiści do ciasnej samolubnej polityki gabinetów wyrażała emigracya tylko swoje uczucia zemsty i wzgardy dla gabinetu pruskiego i austryackiego. W protestacyi towarzystwa demokratycznego czytamy następujące słowa: „Nie udajemy się do gabinetów, do zawartych przez nie układów—lecz odzywamy się do sprawiedliwości, *do interesu ludów*. Czują one potrzebę silniejszego *spojenia się* między sobą, wzmocnienia sił swoich rozszerzeniem *panowania wolności*.“

Duch rewolucyjny emigracyi wiał z zachodu. Europa cała gotowała się po stłumieniu rewolucyi lipcowej do powszechnego ruchu, którego ogniskiem był Paryż. Wojna ledwo nie ogólna groziła wówczas społecznem układowi oświeconych narodów, konstytucyi ich rządów, tudzież zasadom ich polityki. W tem położeniu rzeczy myślała część emigracyi o wyzyskaniu chwili na rzecz swojej sprawy, co było wielkim błędem politycznym. Radykaliści z Francyi, Włoch, Niemiec i Szwajcaryi wzywali i nadużywali do wszelkich rewolucyjnych ruchów imienia Polski, elektryzując tem emigrantów, którzy znów w swej niecierpliwości w każdem zaburzeniu upatrywali zbawienie swojej sprawy. Taki był posiew demokratycznych idej; odbiły się one mocno, jak poznamy, i w socyologii Mickiewicza, który wierzył święcie w powszechne ludów powstanie, zanim się przekonał, że sympatya ludów, to uczucie niewieście, co umie płakać nad cudzem nieszczęściem, ale śmiałej ręki podać mu nie umie. Wzniosłe zasady równości i swobody, które były podstawą jego ewangelii, okazały się także do połowy złudzeniem. Wprowadzenie tych pięknie brzmiących zasad do społeczeństwa i przewrót, za ich pomocą dokonany, dał zupełnie odmienne rezultaty. W sferze politycznej zasady równości wobec prawa i wolności znalazły swój wyraz w uznaniu swobody myśli, słowa i zebrań, w przyznaniu wszystkim obywatelom prawa udziału w ustawodawstwie, sądownictwie i administracyi, w jednakowem dla wszystkich opodatkowaniu i jednakowo obowiązującej służbie wojskowej. Cel więc został osiągnięty; zastosowanie jednak tych zasad w sferze ekonomicznej, przez zniesienie przywilejów, ograniczenie interwencyi państwa w stosunkach gospodarczych i pozostawienie ich wpływowi swobodnej konkurencyi—wydało gorzkie owoce nierówności i niewoli. Ale nie jest to już błędem socyologii Mickiewicza, lecz rozczarowaniem powszechnem. I błąd w pojmowaniu Rzeczypospolitej, jako ideału prawdy, dobra i piękna, nie był tylko Mickiewiczowi właściwy. Jeszcze wypadki listopadowe zrobiły ją czystą „anielską gołębicą,“ poświęcającą się za kraj, za całą ludzkość. Powtarzano to przed Mickiewiczem wierszem i prozą u nas i zagranicą, zwłaszcza w odezwach, adresach, manifestach i tym podobnych demonstracyjnych okazach, w których się objawiało bratnie współczucie ludów Europy. Już w mowie, wypowiedzianej przez Brodzińskiego na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk (dnia 3 maja 1831 r.), występuje Rzeczpospolita w idealnej, niebiańskiej szacie, jako wiekopomny wzór do naśladowania; włożono jej tutaj jako „narodowi ucznia Chrystusa“ cierniową koronę, kazano jej potem wstawać z grobu na odgłos zamachu na wolność ludów i spełnić swoję apostolską misyę: propagandy wolności.

Takie pojęcia społeczne i polityczne były rozpowszechnione w kraju i zagranicą a stały się już prawie własnością narodu, kiedy wystąpił Mickiewicz na arenie politycznej i zaczął naprzód w słowach wieszczych, jakby wyjętych z ksiąg proroków, a potem publicznie z trybuny redaktorskiej nauczać ludy ewangielii społecznej.

Oto główne zasady i poglądy poety z dziedziny społecznej oddane przedmiotowo najczęściej jego własnemi słowy.

(D. c. n.).

H. Biegeleisen.

Z FRANCYI.

(*Teodora*—Sardou).

Podniesiona umiejętną reklamą do wysokiego stopnia, a później ustawicznie podtrzymywana w natężeniu ciekawość Paryża została nareszcie w części zaspokojona, gdy 26 grudnia: w teatrze *Porte Saint-Martin* po raz pierwszy przedstawiono od tak dawna oczekiwaną *Teodorę*, z Sarą Bernhard w głównej roli.

Sala naturalnie była przepełniona, przeważnie literatami, a raczej tłumem, w którym każdy z obecnych nosi z sobą odrobinę znakomitości, bądź w literaturze. sztuce, fryzurze, toalecie i galanteryi. Widzi się tam zwykle dowolnych krytyków, kilku bankierów, wszystko, co posiada gazeciarstwo, a więc dziennikarzy, reporterów, anekdocistów i pięciu czy sześciu *klubmenów*, którzy mają pretensyę do wpływania na powodzenie, albo na upadek sztuki, tak jak wprowadzają w modę spodnie lub kapelusze. Stare i dopiero co poczynające aktorki także znajdują się w znacznej liczbie na tych zebraniach ze swemi matkami, siostrami bonami i orszakami.

Jest to właściwość czysto paryska, a chyba trudno byłoby wymyślć publiczność gorszą. Jej się podobają albo banalne czułości, albo po prostu plugastwa.

Przez taki to ogień każda nowa sztuka przejść musi, i zaraz pierwsze przedstawienie orzeka, czy ona się utrzyma. czy też upadnie zupełnie.

Jakże *Teodora?*

Zaraz po widowisku wszystkie niemal dzienniki pomieściły ogromne sprawozdania, niektóre nawet dały rysunki dekoracyi i Sary Bernhard w porównaniu z jej pierwszem wystąpieniem w bardzo skromnej roli (1868). Zdania naturalnie, jak zawsze, są różne; przeważają jednak uwagi dodatnie, które przyznają, że *Teodora* jest arcydziełem — ale nie najpierwszej wody.

Aby czytelnik miał jasne pojęcie o tej ostatniej pracy Sardou, trzeba zauważyć że akcya dramatu odbywa się w r. 532, a szóstym panowania cesarza Justyniana, charakterystycznym przez straszny bunt pod hasłem *Niké* (Zwycięstwo) i spalenie pierwotnego kościoła świętej Zofii.

Cały Konstantynopol dzielił się wtedy na dwie wielkie partye: Wenetów i Prasidianów, inaczej zwanych Niebieskimi i Zielonymi, bo to były dwie główne barwy, używane przy wyścigach w Hipodromie. Teodora, córka stróża dzikich zwierząt, który był Niebieskim, wstąpiła do cyrku i była także Niebieską. Cesarz Justynian przez miłość dla niej protegował naturalnie zwolenników tego znaku.

Całą niemal charakterystykę wypadków, obyczajów i osób, Sardou zaczerpnął z pracy p. August. Marrasta, zatytułowanej: *La Vie Byzantine au VI siecle*, chociaż posługiwał się i innemi dziełami. Osobistość Teodory, pomimo iż jest bardzo wybitną i pełną kontrastów, co właśnie stanowi dobry materyał do dramatu i tragedyi, jakoś uszła uwagi poetów i dramaturgów starożytnych i nowożytnych. Zarówno

ona, jak Justynian nie mieli szczęścia natchnąć w wiekach przeszłych ani tragedyi, ani dramatu, których byliby bohaterami w swojem własnem imieniu i dla siebie samych.

Tylko w nieskończonej ilości tragedyj, romansów i oper, poświęconych Belizaryuszowi, występują bardzo słabo dwie te postacie.

Rzecz dziwna, że Teodora, zapomniana w ciągu tylu wieków, w r. 1884 zajęła naraz dwóch ludzi: Sardou i C. Rangabégo, który w tym samym czasie, kiedy się zaczęły próby teatralne, wydrukował w Lipsku, studyum dramatyczne w pięciu aktach, p. t. *Teodora*, napisane prozą i wierszem; jest to więcej poemat, niż dramat realny, co właśnie dał Sardou.

Na początku sztuki jesteśmy w pałacu imperatora w Konstantynopolu. Cesarzowa, spoczywając na łożu, okrytem skórą niedźwiedzia, daje posłuchanie różnym dygnitarzom państwa, pomiędzy którymi znajduje się paryżanin, przybyły do Konstantynopola w charakterze turysty. Paryżanin naturalnie w r. 532, jak i w r. 1884 jest zachwycający; to też zaraz pozyskał serce Antoniny, żony znakomitego Belizaryusza, która będąc, tak jak Teodora, aktorką, pozostaje w ścisłej przyjaźni z cesarzową, przez co ta rządzi zupełnie Belizaryuszem i odwraca jego ambicyę od wszystkich marzeń niebezpiecznych dla Justyniana.

Po skończeniu urzędowego przyjęcia, Teodora zrzuca uroczyste szaty z wykrzyknikiem: „Mam dosyć generałów, ambasadorów i biskupów. A teraz wyprostuję sobie nogi!“ I przebrana, obwinięta gęstym woalem, w towarzystwie tylko dwóch niemych sług, idzie najprzód do podziemi Hypodromu, aby tam spotkać starą cygpcyankę, z którą się zaprzyjaźniła jeszcze w cyrku a od której chce dostać napoju miłosnego i nim na zawsze przywiązać swego kochanka, niejakiego Andreasa, tak samo, jak to zrobiła z cesarzem Justynianem.

Trzeci obraz wprowadza nas do mieszkania Andreasa greka, który spiskuje przeciw cesarzowi i już nawet zdołał wciągnąć do swych knowań ludzi otaczających go. Zamach ma być wykonany tej właśnie nocy. Spiskowcy się rozeszli, pozostaje Andreas, który przy bramie ogrodu przyjmuje zawoalowaną kobietę. Jest to Teodora, jego kochanka, znana mu pod nazwiskiem Myrty, młodej wdowy, którą rodzice chcą gwałtem wydać za starego Symeona Fokasa.

W chwili, kiedy kochankowie zamieniają najczulsze wyrazy, powstaje na ulicy zgiełk. Rozszalałe tłumy śpiewają obrażające Teodorę śpiewki, których ona musi słuchać. Robi to na niej wrażenie straszne: zsiniała, nieruchoma, oblana zimnym potem, nie wie, co ma robić. Tymczasem Andreas z uśmiechem powtarza zwrotki obraźliwej piosenki. Teodora zatyka mu ręką usta i boleśnie jęczy: „przynajmniej nie ty! nie ty!“

Wzruszenie przeszło, Teodora wychodzi z zapomnienia i biegnie, by ostrzedz Justyniana o grożącem niebezpieczeństwie.

Ten ją spotyka w najgorszym humorze, pyta, gdzie chodzi sama po nocy, a rozgniewany, wyrzuca jej, że nie zapomniała widać swego niskiego pochodzenia, skoro nie może się obejść—bez nocnych przechadzek. Teodora ze swej strony przypomina małżonkowi swe usługi, w skutku których został cezarem, a dziś znów ratuje mu życie, ostrzegając o spisku. Justynian, wystraszony tą wiadomością, sam nie wie, co robić. Nadbiegają Belizaryusz i Eudomon, który proponuje cesarzowi ucieczkę na brzeg wschodni, aby tam zebrać wojska i uderzyć na zbuntowanych—Teodora chce umrzeć jak bohaterka, broniąc się na placu. „Jeżeli mnie zamordują, stanie się to w moim pałacu; a nie mogłabym mieć nigdy piękniejszej trumny.“ Justynian, pociągnięty jej ogniem, zostaje. Belizaryusz zbiera barbarzyńską milicyę i gotuje się do obrony.

Ale niebezpieczeństwo okazuje się jeszcze większem z powodu zdrady w pałacu. Antonina słyszała, jak centuryon Marcellus dał rozkaz, aby przeszkodzono Belizaryuszowi wyjść od siebie. Szczęściem uprzedzono Belizaryusza, który czuwa w oratoryum, prowadzącem do pokoju Justyniana. W chwili, gdy Marcellus wprowadza Andreasa, uderzony w ciemności przez Belizaryusza krzyknął z przestrachu: „do mnie Andreas.“ Cesarzowa to słyszy i z szybkością błyskawicy ratuje kochanka, wypychając go tajemną furtką na zewnątrz pałacu. Szukają wszędzie—nikogo nie znajdują; ale Marcellus, wzięty na tortury, wyda wszystko. Cesarzowa więc żąda, aby go wybadała najprzód sama. Opisuje mu okropne męczarnie, jakie go czekają; on, przestraszony, błaga ją, aby mu skróciła życie szpilką podobną do sztyletu, którą ma we włosach. Teodora waha się, ale gdy on grozi, że wymówi imię Andreas, uderza go w serce i zabija. „Coś ty zrobiła?“—pyta cesarz. „Zelżył mnie—więc go zamordowałam.“

Ciało zabitego rzucono do morza, skąd je wyciągnęli przyjaciele, aby mu wyprawić pogrzeb. Teodora, ciągle jako Myrta, idzie pocieszać swego kochanka i wymaga od niego przyrzeczenia, że się nie pokaże na igrzyskach w cyrku.

Tymczasem przyjaciele objaśniają go, że ani Myrta, ani Fokas w całym Konstantynopolu nie istnieją i że jest przedmiotem mistyfikacyi Teodory. Przekonywują go przytem, że ponieważ tajemnica spisku zdradzona, więc trzeba wydać wojnę cezarowi. W Hipodromie ma być dany znak walki.

Justynian i Teodora, cała jaśniejąca od złota i drogich kamieni, ukazują się w loży. Wtem powstają krzyki, wrzaski i groźby, skierowane głównie przeciw cesarzowej. Straże chwytają młodego człowieka, który się odznaczał szczególną gwałtownością i rzucają go u nóg władcy. Jest to Andreas, który nie przestaje rzucać Justynianowi w twarz swojej nienawiści. Teodora staje pomiędzy nim i katami, którzy się zbliżają na znak dany przez cezara. „Niech go zakneblują“—krzyknęła—„ten człowiek do mnie należy.“

Tymczasem publiczność jest uzbrojona i Belizaryusz rozkazał wystąpić swym barbarzyńskim kohortom; zaczyna się rzeź: „Ach!—niech się mordują, niech zgore całe Byzancyum—to mi wszystko jedno,“ woła Teodora, a potem dodała cicho do ucha Andreasowi: „ciebie tam nie będzie!“

Andreas, uwolniony z więzów przez straż, którą mu dano—bierze udział w walce, ale gdzieś przepada—zabity, czy ranny.

Tymczasem Justynian, zastanowiwszy się nad tem, co zaszło, zdecydował, że postępowanie Teodory jest podejrzane i karygodne; postanowił więc jej się pozbyć. Ona nie dostrzega burzy, zawieszonej nad jej głową, poi się szczęściem, bo Tamyris uratowała rannego Andreasa i schowała go w sklepionej piwnicy. Tam udaje się Teodora uzbrojona w napój miłosny, który mu chce zadać, aby na zawsze do siebie przywiązać—jak cesarza.

Korzystając z osłabienia rannego, puszcza mu kilka kropel do ust, ale gdy ten tylko je przełknął, w tej chwili skonał. Zaszła fatalna omyłka: krople te przygotowała Tamyris, chcąc nimi otruć cesarza za to, że jej kazał zamordować syna. Teodora nie ma nawet czasu opłakać swego kochanka, bo oto zjawiają się oprawcy, przysłani przez Justyniana, i w milczeniu ukazują jej stryczek z czerwonego jedwabiu. Teodora zrywa naszyjnik z pereł, obnaża swą szyję, kładzie głowę na nogach Andreasa i mówi do kata: „Chodź, teraz już jestem gotowa.“

Taka jest osnowa tego dramatu.

Pierwszy akt to tylko wstęp, w którym autor pokazuje nam obyczaje i świetne kostiumy dworu cezarów Wschodu. Akcyj dramatycznej tu nie ma—zawiązuje się ona dopiero nieco wprawdzie zapóźno, ale za to bardzo energicznie w obrazie trzecim, odkąd rozwijając się w sytuacyach tragicznych i strasznych, postępuje szybko aż do końca.

Szczytem jest akt piąty, obraz przepychu, harmonizującego z wysokim nastrojem dramatycznym.

Całe dzieło nosi cechy talentu scenicznego i rzec można, że jest to wspaniały fresk, namalowany z energią, uczuciem, o spotęgowanych barwach, które zachwycają.

Teodorze brakuje jednej rzeczy, tej, która daje prawdziwą siłę utworom dramatycznym—kolorytu namiętności i wystudyowania charakterów.

Pomimo to Sardou umiał stworzyć ciąg sytuacyj, logicznie wyprowadzonych jedna z drugiej, może najsilniejszych, jakie można spotkać w dramacie, albo melodramacie dziewiętnastego wieku.

Niemała część zasługi należy się także Massenetowi, który dodał do tego pięknego utworu swoją muzykę. W pochwałach mają też udział dekoratorowie, kostiumerzy i maszyniści, którzy przeszli wszelkie oczekiwania; zwłaszcza niektóre dekoracye są prawdziwemi arcydziełami. A przytem *Teodorę* gra po mistrzowsku Sara Bernhard. Zdaje się, że jest niepodobieństwem, aby gra aktorki mogła być lepszą.

Można rzec, że to nie talent, ale jego uosobienie. Naprzemian dzika, czuła, szalona, melancholiczna, dumna, pieszczotliwa, wspaniała po królewsku, to znów prawdziwa ulicznica, a pod każdą z tych form okazuje się jednakowo godną podziwienia z powodu siły i prawdy, jaką nosi każdy nowy odcień jej gry. Nawet te maniery i grymasy, które ma zawsze, służą jej w tej roli jak najlepiej. Kobieta z ulicy, która się stała cesarzową przez siłę występku, nie może być zupełnie dystyngowaną, ani też prostą.

Gnotus.

LIBERUM VETO.

Sfinks noworoczny. — Jedyny pewnik. — Dary trzech królów. — Mira. — Kto utrzymuje separatyzm. — Zmiana ról. — Czy Towarzystwo kredytowe dla miast, czy bank skopiński. — Kadzidło. — Wykrycie buntowników w kalendarzu. — Ich maska zdjęta przez *Kijewlanina*. — Złoto. — Krzywdy dwu niewiast, z których jedna niema sztucznie wylęganych kurcząt, a druga nieżonatego rządcy. — Oszustwo dokonane na ubogich. — Czy my jesteśmy biedni. — Kolej dąbrowska i rzeźbiarze.

Rok 1885 będzie bardzo tajemniczym sfinksem. Jedni widzą w nim „przeddzień ważnych wypadków“ lub „chwilę przełomu,“ drudzy „dobę pokoju,“ inni dojrzewanie powszechnej wojny, wreszcie p. C. Jankowski wyobraża sobie (w *Tygodniku ilustrowanym*), że to jest śliczny chłopiec, który wyciągnie z toni na sznurze żyda i kilka włościanek, p. Ks. Pillati zaś, że to brzydka kobieta, która prząść zaczęła z kądzieli *Tygodnika powszechnego*, a gdy się zmęczy, popłynie na łodzi, wiosłując obsadkami od kredek, zamiast wioseł. Komu wierzyć? Nie śmiem radzić, bo w całej przestrzeni na bliższą przyszłość to tylko ze spraw ludzkich jest dla mnie pewnem, że trzej królowie nasi: Suworin, Piehno i Awsiejenko przyniosą nowonarodzonemu nad Wisłą mirę, kadzidło i złoto. Jest to daleko niezawodniejszem, niż działalność siły przyciągania ziemi. Już nawet niektóre z tych darów odebraliśmy..

Miasta „przywiślańskie“ postanowiły zaopatrzyć się w uorganizowany i tani

kredyt, na co rząd zezwolił. Zdawałoby się, że przecie zakładanie towarzystw kredytowych jest czynnością równie lojalną, jak płacenie podatków. Tymczasem *Now. Wremia* uderza w wielki dzwon, dowodząc, że one podtrzymują „odosobnienie przywiślańskiego kraju.“ Naprzód dzięki za tę mirę, a powtóre kilka słów o niej. Kto bardziej podtrzymuje odosobnienie: czy ci, co domagają się we wszystkiem urządzeń wyjątkowych, czy ci, co pragną wspólnych? Panowie, nie widzicie chyba, że role zaczynają się zmieniać: wy zaczynacie być zwolennikami naszej odrębności, a my państwowego zjednoczenia. Radziwiłł Panie Kochanku, gdy się załgał, zapominał, że obok niego siedzą ci, którzy zginąć mieli. Nałogowym kłamcom zdarza się to nieraz a *Now. Wremieni* aż za często. Pismo to, oddychając ciągle atmosferą przeddwudziestoletnią, wcale nie dostrzega, że przeszło mimo woli i wiedzy *w zasadzie* na stanowisko przeciwne: żąda ustawicznie wzmacniania odmiennej u nas postaci stosunków. Nie traktuje nas jako część państwa, ale jako zewnętrznego nieprzyjaciela. Czy to nie komedya pomyłek? Dyabli muszą się bardzo śmiać z tego figla.

Gazeta petersburska obiecuje dowieść później, że towarzystwo kredytowe dla miast nie zaspokoi potrzeb ich mieszkańców. Było sobie małe miasteczko—nazwiskiem Skopin; był sobie w niem mały dyrektor—nazwiskiem Rykow. W owem małem miasteczku ów mały dyrektor mógł założyć wielki bank, ściągać do niego a potem kraść miliony—i *Nowoje Wremia* nie miało ani zgrozy, ani nawet zdziwienia. Ale gdy miasta Królestwa polskiego dadzą podstawę instytucyi kredytowej—to dla niego jest i zdrożnem, i niebezpiecznem, i niekorzystnem. Ha, trudno, Skopin znaleźlibyśmy, może nawet i Rykowa—ale takiego banku nie sprawimy sobie i wolimy zjednoczyć miasta, zwłaszcza że ministeryum pozwoliło wbrew oporowi p. Riazancewa z *Now. Wremieni.*

Zobaczmy kadzidło. Za panowania Bolesława Chrobrego rozbójnicy zamordowali pięciu benedyktynów w klasztorze morawskim, których papież kanonizował a kalendarz katolicki umieścił pod datą 12 stycznia między świętymi. Ponieważ kolumny kalendarzowe są zwykle wązkie, drukowano przeto w skróceniu: „5 Br. męcz. pol.“ *Kijewlanin*, który już do każdego kącika „intrygi polskiej“ zajrzał, który najtajemniejsze uczucia i myśli nasze na wierzch wydobył, który dusze nasze przetrząsł a uczuł brak materyału do nowych oskarżeń, pewnego dnia zatrzymał się przed: „5 Br. męcz. pol.“ A—zawołał—jesteś intrygo, tu się ukryłaś, przypuszczając, że cię nie znajdę! Przedewszystkiem należało wyśledzić imiona przyczajonych buntowników „kreacyi warszawskiej.“ Po długich „sprawkach“ ogłosił wreszcie *Kijewlanin* rezultat:

„Otrzymaliśmy już imiona owych polskich świętych; ogłoszenie ich posłuży do rozstrzygnięcia zagadki, co to za „święci męczennicy“ byli i kiedy zostali męczeni. W kalendarzach warszawskich i wileńskich oznaczają ich tajemniczo „5 Pol. br. m.“ pod datą znowu 12 listopada, a w wileńskim dodany jest i znany „Jozafat.“ W modlitewniku, wydanym w Krakowie w r. 1883, już otwarciej o tych świętych mowa i tu dowiadujemy się, jakiej to oni są próby. Notatka, podana tamże w kalendarzyku, potwierdza tę dawno uznaną *prawdę*, że duchowieństwo polskie dąży do celów rewolucyjnych, nie religijnych, że podnieca namiętności polityczne wśród narodu i do religii miesza „służenie sprawie.“ Oto bowiem, co czytamy w tym modlitewniku: „Pięciu braci męczenników Benedykta, Jana, Mateusza, Izaaka—czy aby nie żydka świętego?—i Krystyna patr. Kr. Pol.“

Biedni braciszkowie benedyktyńscy! Ośm przeszło wieków ukrywali się spokojnie w kalendarzu, aż wreszcie złapał ich *Kijewlanin* i odesłał „do Warszawy“ z raportem. że to są „powstańcy.“ Taki już ich los: i za życia kryli się w ustroniu morawskiem, gdzie ich również sprytni ludzie znaleźli...

A złoto? P. Awsiejenko okazał się tak szczodrym, że aż jego dary odesłać muszę na wystawę w „Cudzych głosach.“

Niedawno powstała u nas instytucya rozprzedaży różnych drobiazgów po ulicach, która nie obudziła żadnych obaw w *Now. Wremieni*, a ze względu na pochodzenie przedsiębiorcy zdolna była je rozradować. Niestety, policya musiała zastawić potrzask na przelotnych ptaszków, ale złapała tylko jednego, który wyśpiewał całą piosenkę oszustwa. Równocześnie sąd okręgowy miał kłopot ze sztucznym wylęgaczem ptaków, który zeszłego roku okazywał publicznie swe przyrządy, wprawiając w zdumienie prasę, a którego pewna hodowczyni oskarżyła o zawód i niedotrzymanie warunków kontraktu. Sąd nakazał bliższe zbadanie sprawy, tymczasem stoi murowany fakt, że ów słynny fabrykant kurcząt ani jednego nie wylągł, i że nie „kalaliśmy własnego gniazda,“ wątpiąc o jego wynalazku. Najwyraźniej zastrzegam sobie rehabilitacyę w tym przedmiocie, ażeby na sądzie ostatecznym, przy wyliczaniu moich grzechów, nie wymówiono mi: tyś także nie wierzył w inkubatora. Bo wtedy musiałbym odeprzeć: pani H. wierzyła i źle na tem wyszła.

Druga także niewiasta zawiodła się na mężczyźnie... Pewna właścicielka hotelu powierzyła jego zarząd aktem rejentalnym młodemu człowiekowi, który podczas sprawowania swych obowiązków—ożenił się. Rozgniewana chlebodawczyni zażądała rozwiązania kontraktu, którego intencyom małżeństwo to się sprzeciwiało — i wystąpiła przed sąd. Ale mężczyźni przyznali słuszność mężczyźnie.

Zapisując te dwie krzywdy niewieście, nie mogę ich porównywać, gdyż pierwsza jest czysto materyalną, a druga „wkracza w wyższe sfery ideału.“

Natomiast określić łatwo inną szkodę. Pewien dowcipny człowiek ogłosił w *Kuryerach*, że potrzebuje przepisywacza. Znalazło się wielu—i każdy z nich dostał po kilka arkuszy na próbę. Gdy odnieśli swe prace, wszystkie okazały się niedostateczne—ale razem wszystko przepisały. Dowcipny człowiek już więcej nie *próbował.* Gdy się oszukują dwaj bankierzy, dwaj bogaci przemysłowcy, dwaj gracze karciani—można przejść koło nich, nie wzruszywszy nawet ramionami; ale gdy ktoś oszukuje najbiedniejszą pracę, gdy okrada ręce, które nie mają co włożyć do ust głodnych—czuję gwałtowną chęć być prokuratorem, sędzią, bodaj wreszcie świadkiem zbrodni. Chociaż z drugiej strony nieraz zaczynam wątpić, czy u nas jest bieda. Jeśli z miasta ekonomicznie skromnego, panna Teresina Tua za kilka koncertów wywozi 4000 rs., abonamenty na wystąpienia Modrzejowskiej są rozchwytywane, na stołach krawców pojawiają się bażanty, jeżeli każdy „wieczorek wełniany“ uważany bywa za bohaterstwo i tak czczony w pismach, że po najdłuższem i najprawowitszem życiu nie śmiałbym rościć pretensyi do równego uznania—to może istotnie my nie jesteśmy ubodzy, może tylko w złych snach po przesycie ukazuje się nam fantastyczne widmo nędzy? Smutnie uśmiechnął się zapewne na to pytanie każdy z owych przepisywaczy, któremu chleb przemienił się w kamień. Nie dziwcie się wątpieniu: u nas często skutek ma nieobliczoną przyczynę. Któżby się np. spodziewał, że po otwarciu kolei dęblińsko-dąbrowskiej rzeźbiarze polscy wybierają się z Rzymu do... Chęcin, dla korzystania z tamtejszych marmurów i pracowania w kraju. A przecież tak donosi jedno z pism.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Z kredką. — Niezamożność produkcyi. — Sprowadzane drożdże. — Nieudolność. — Co my umiemy. — Drobna omyłka. — Po co Ameryka. — *Morituri.* — Girdwojń nie zdołał. — Filozofia szlachecka w sprawie drobnego przemysłu. — Przebiegłość włościan. — Zwykłe żniwo występku. — Nauczyciele pod sądem.— Obława na uwalniaczów od wojska. — Uciecha żydów. — Oko za oko itd.

Prasa nasza przedstawia obecnie widok lekarskiego konsylium nad chorem rolnictwem, któremu życia, a przynajmniej zdrowia nikt nie wróży. Szlachta, przyjmująca główny udział w tej naradzie, zdobyła się na niezwykły w jej usposobieniach wysiłek: nie deklamuje, ale oblicza z kredką. Obliczenia te wszakże doprowadzają ją do coraz większych zwątpień. „Na postawie regestrów gospodarczych i kasowych przekonałem się — pisze p. K. M. D. w *Wieku* — że jeden korzec pszenicy kosztuje mnie samego 3 rub. 50 kop.; ażebym zaś mógł pokryć wszystkie wydatki bez wyjątku, jakich gospodarstwo potrzebuje, nie licząc własnego utrzymania, powinienem wziąść za korzec pszenicy 5 rs. 65 kop. — żyta 4 rs. 50 kop. Obecnie cena pszenicy u nas jest 5 rub., żyta niecałe 4; to znaczy, że wyprodukowane zboże przy teraźniejszych cenach nie jest w stanie pokryć wydatków gospodarstwa.“ Podobnie brzmią rachunki w innych okolicach. Może one są ścisłe, ale trudno nie dostrzedz, że ziemianin nasz, mierząc niebezpieczeństwo, pomija w niem bardzo ważny szczegół — własną niezaradność. Ma on przed oczami Amerykę, Australię, Indye, ale całkiem nie widzi siebie. Nie widzi, że gdy w Chełmskiem zawiązano spółkę rolniczą, skończyła ona swą działalność — według tegoż korespondenta—„na spisaniu aktu;“ że gdy tamże (w Żulinie) zwinięto fabrykę drożdży prasowanych, nikt nie myśli o założeniu nowej, chociaż Lublin sprowadza drożdże aż ze Słonima i Oszmiany, a jednoognisko ich transportu opłaca miesięcznie akcyzy od 1,200 do 1,400 rs. (*Kur. warsz.*). Cokolwiek prawią w uroczystych manifestach organy szlacheckie, niewypuszczające z rąk trybularza, jest to faktem tak dla nas pewnym, jak reguła matematyczna, że ziemianin polski utracił zdolności lub ich nie rozwinął, że skostniał w tradycyi, że posiada za mało energii i przedsiębiorczości, że nad jego głową przeciągają dwie wzmacniające się wzajemnie chmury: obcej przewagi i własnego niedołęztwa. Hasłem więc obecnej doby powinna być nietylko walka z zagranicą, ale także walka z sobą, ze swojem lenistwem i niezaradnością. To nie satyra, ani przekora liberałów „wrogich ziemiaństwu,“ ale prawda, którą głoszą w przystępach szczerości nawet pisma mu dworujące. „My umiemy tylko biadać i narzekać — powiada *Wiek* — a nie bierzemy przykładu z praktycznych żydów.“ Uwagę tę dostatecznie chyba usprawiedliwia przytoczony przez korespondenta tej gazety wypadek na Polesiu. W jesieni p. Ryb nabył majątek Suszyczno i Zaprzedie (500 włók) za *53,000* rs., który zmieniając właścicieli w ciągu „niespełna miesiąca,“ doszedł do poczwórnej ceny. P. Ryb bowiem odstąpił dobra pani J. z Galicyi i p. R. z Warszawy, zarobiwszy na tem 80,000 rs. Nowonabywcy zabrali się do eksploatacyi energicznie. „1) przygotowano zaraz w jesieni 8 morgów pod plantacyę chmielu (będzie to największa plantacya chmielu, jaka po dziś dzień egzystuje na Woły-

niu), która ma dawać dochodu do 8,000 rubli; 2) od lasów suszyczańskich do stacyi Hołoby (wiorst 18) ma być przeprowadzona kolej parowa lub konna do przewożenia sążni na sprzedaż; obliczenie, już dopełnione, wykazuje podobno, że wyciąwszy las na sążnie i sprzedawszy je po cenie praktykowanej, można osiągnąć krociowe zyski; 3) las podzielony będzie na 10 rewirów, w każdym leśnik doglądać będzie 100 uli systemu p. Lewickiego, które mają dać dochodu do 8,000 rs., a że na Polesiu niema pasieczników uzdolnionych, więc ci sprowadzeni będą z Galicyi; 4) ponieważ w majątku Suszyczno jest dużo wód i jezior, więc ryby łowione być mają przy świetle lampy elektrycznej. (!)"

Proszę zastanowić się tylko: ziemianin, który w szacowaniu swego majątku myli się *tylko o 4 razy*, który nie wie, że może uprawiać chmiel, hodować ryby i z lasu ciągnąć „krociowe zyski," czy taki gospodarz może wytrzymać jakiekolwiek współzawodnictwo, chociażby ono było daleko mniej groźnem, niż amerykańskie, czy on nie jest ekonomicznie *moriturus*?

A takie widoki i takich ludzi dostrzegamy gęsto na całym widnokręgu polskim. Każda niemal korespondencya prowincyonalna bywa świadomem lub bezwiednem zeznaniem przeciwko naszemu niedołęztwu. Pojawił się u nas człowiek rzeczywiście dzielny, jako badacz i praktyk, Michał Girdwojń. Postanowił on podnieść rybołóstwo krajowe, jeździł, zachęcał, dawał wskazówki, a gdy sam na wielką skalę rozpoczął pracę w pewnym majątku, pisma zapowiadały wielki tryumf. Tymczasem... czytamy w *Gazecie polskiej*: „Niedawno z przyjemnością prawdziwą podaliśmy niektóre szczegóły o gospodarstwie rybnem w Duksztach, w powiecie nowoaleksandrowskim, pod kierunkiem znanego ichtyologa, Girdwojnia Michała. Gospodarstwo to stało się głośnem, a pan Girdwojń uważał sobie za zasługę prowadzić je bezinteresownie, licząc na świetne rezultaty w przyszłości. Zawiodła go jednak niestety nadzieja! Nowy dziedzic, zamiast udzielić mu poparcia, zniweczył pracę naszego ichtyologa. Fakt ten uważamy za właściwe zanotować, chociażby z tego względu, że o gospodarstwie rybnem w Dukszach w ostatnich czasach wiele pisano i zaczęto interesować się niem ogólnie."

Jeżeli już Girdwojń nie może u nas ryb hodować, to ich nikt hodować nie będzie.

Dziwna rzecz, jak ospa przemysłowa trudno się w naszym organizmie przyjmuje. Szlachcic nie może jej zaszczepić sobie i nie chce chłopu. Podniesiono sprawę drobnego przemysłu wiejskiego. I oto w *Wieku* p. K. S. — „ziemianin" — występuje przeciwko niej. „Gdybyśmy — powiada on — mieli nadmiar rąk do pracy rolnej, gdybyśmy dla wyrobów drobnego przemysłu wiejskiego mieli miejsca zbytu (skądże się wezmą „miejsca," kiedy niema „wyrobów"?), wtedy ten przemysł należałoby rozbudzać i podtrzymywać." Przez to rozumowanie przegląda myśl ukryta jasno: szlachta pozostanie przy rolnictwie, a ponieważ potrzebuje żniwiarzy, kosiarzy, młocarzy itd., więc nie należy ich odciągać do przemysłu. To jest wierne i szczere tłomaczenie filozofii „obywatelskiej." My sądzimy przeciwnie, że trzeba dać ludowi zajęcie po za rolnictwem, gdyż on obrobiwszy własne i dworskie pole, przez kilka miesięcy w roku próżnuje i z próżniactwa albo kradnie, albo żebrze, albo emigruje do miast. Niewątpliwie, „wykazy komór celnych" mogą nas do pewnego stopnia pouczyć, jaka produkcya jest pożądana — ale tylko do pewnego stopnia, gdyż jakkolwiek niemcy lepiej znają nasze potrzeby, niż my sami, nie dostrzegają wielu takich, które my znać powinniśmy. „Ani samodział z pod Radomia nie znajdzie nabywcy w Lubelskiem, ani wyszywana koszula rusińska w Radomskiem." Nie znajdzie? A przecież dziś już całe okolice kraju zrzuciły ubiór miejscowy i zastąpiły go pospolitym — niemiecko-mieszczańskim. Dlaczegożby więc nie miały przyjąć — jeśli nie „samodziałów" radomskich — to przynajmniej czapek, pasów, kos, sierpów i nożyków — krajowych?

Zanim żydzi wynaleźli sposób obchodzenia nowej ustawy stęplowej, uprzedzili ich chłopi. Według *Kur. warsz.* włościanie nadgraniczni sporządzają akty za granicą. „Rejent pruski przyjeżdża do Działdowa i Gołubia i tam załatwia czynności, niepociągające skutków hipotecznych"—a prawne. Wywołało to popłoch między naszymi... rejentami. Nowe prawo uszczupliło im klientelę niebezpiecznie; jeśli więc do tej szkody dołączy się jeszcze współzawodnictwo notaryuszów zagranicznych, trzeba będzie — na kresach — rozwiązywać Hamletowskie pytanie.

I w dzisiejszej kronice nie mogę uniknąć zapewnienia, że złodziej i rabuś nie próżnowali. Nawet śmierć czasem męczy się i zwalnia ruch swej kosy, ale kradzicże i rozboje nie ustają. Gdy w Rosyi aż prokuratorzy muszą upominać sędziów przysięgłych, ażeby zbyt jawnych łotrów nie uwalniali, a opinia oburza się na wyroki, uwalniające spekulantów, którzy podpalają fikcyjne i wysoko zaasekurowane zbiory, choć nieraz już byli na takich sprawkach łapani—u nas lud nie odwołuje się do żadnych sądów, lecz złapawszy opryszka, rozbija mu czaszkę i... nie czuje żadnych wyrzutów sumienia.

Podczas gdy złodzieje i rabusie wymykają się z rąk sprawiedliwości, umie ona chwytać tajemnych nauczycieli wiejskich. Jak donosi *Gazeta polska* z Kowna, zasiądzie tam wkrótce na ławie oskarżonych dwu włościan, którzy uczyli dzieci wiejskie — kraść konie? — nie — czytać i pisać.

Zaczęto robić formalną obławę na uwalniaczów od wojska. Czytelnicy pamiętają proces tego rodzaju w Królestwie, który się zakończył ukaraniem winnych. Obecnie wytropiono szeroko rozgałęzioną spółkę w Mińsku. Około 30 urzędników komisyj powiatowych pociągnięto do odpowiedzialności za fałszowanie i przekupstwo. Przerażeni są tem odkryciem żydzi, którzy najliczniej uwalniali się od wojska, ze 108 aż 61 umknęło przed superewizyą. Już przed trzema laty ministeryum wojny poleciło nie zwracać wcale uwagi na metryki i dokumenty żydów, zwykle podrabiane, lecz brać ich według wyglądu zewnętrznego — choćby nie pełnoletnich. Ale — jak twierdzi korespondent *Gazety polskiej*—i ten przepis wyzyskano w kierunku nadużyć, tak, że ludność chrześciańska musi zapełniać braki izraelskie. Zwracamy uwagę, że jest to jeden z głównych powodów jej nienawiści i zaburzeń antiżydowskich. To też ruch przeciw żydom nawet w sferach decydujących nie ustaje. Tak np. kowieńska Izba skarbowa otrzymała w listopadzie okólnik, zakazujący wydawania patentów i świadectw na prawo handlu i przemysłu izraelitom zagranicznym. Państwo zdaje się mówić do potomków Mojżesza: jak wy mnie, tak ja wam.

A. C.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 8 stycznia.

Szczere i podrabiane adresy, potępiające uchwałę sejmu, którą odmówiono ks. Bismarkowi 20,000 marek na nowego dyrektora w ministeryum spraw zagranicznych—choroba Gladstone'a i związane z nią domysły, wreszcie postęp francuskich działań zaczepnych w Azyi — oto cała wiązanka polityczna z ubiegłego tygodnia.

Owe adresy są czemś czysto... niemieckiem. Jak kanclerz sponiewierał przedstawicieli narodu i jak oni sami nie umieją strzedz swej godności — dowodem ta sprawa. Sejm poważył się odmówić dyrektorowi 20,000 marek, to już wystarcza, ażeby „winowajców" odsądził od czci i wiary ten sam naród, który ich niedawno wybrał. Leją się obfitym potokiem skargi, złorzeczenia, obelgi, karczemne brutalstwa — a p. Pindter zbiera je do swego kosza dumny z takiego plonu, który gdzieindziej byłby uważany za sromotę.

Gladstone choruje, ale nie na podagrę, nie na newralgię, lecz na kwestyę egipską, z którą podobno nie umie sobie poradzić. Że jako spekulant polityczny jest on często naiwnym, to mu już niejednokrotnie powiedziano, a my przeczyć nie będziemy; żeby jednak Anglia nie wyciągnęła szyi z pętlicy egipskiej — temu nie wierzymy. W krytycznej chwili znajdzie się lepszy od niego magik i złe naprawi.

Wojska francuskie znowu pobiły chińczyków a wyprawa ma tak dalece wzróść w energii, że niedługo spodziewanem jest formalne wypowiedzenie wojny z Paryża. Rzeczywiście już czas położyć kropkę nad *i*, które bez niej wygląda cudacznie. Dwa narody zarzynają się, a dwa rządy pozostają w przyjacielskich stosunkach. Chociaż zdarza się to zwykle, tylko mniej jawnie.

CUDZE GŁOSY.

Gazeta polska zamieszcza następujące rozsądne uwagi o rozdawanych w Warszawie obiadach bezpłatnych.

„Usiłowania dotychczasowe noszą cechę niepraktyczności i z pewnością kwestyi nie rozwiążą. Ale z drugiej strony, nie zapomnijmy o tem, że społeczeństwo nasze nie jest i nie może być narówni z niemieckiem przygotowane do spotkania się oko w oko ze wszelkiemi objawami kwestyj społecznych, a głównie dlatego, że niema możności żadnej organizowania się wobec nich, że brak mu najważniejszego warunku, to jest: podstawy prawnej i pomocy w ustawach obowiązujących. A potem bierzmy i to na uwagę, że nędza u nas inaczej się wytwarza aniżeli gdzieindziej. Chleba dla ludności naszej byłoby podostatkiem, gdyby dostęp do istniejących źródeł zarobkowania nie został dla ludności tej coraz bardziej utrudnionym, gdyby, jednem słowem, bez żadnej ze strony samego społeczeństwa winy, całe zastępy, mogące znaleźć utrzymanie i odpowiedni byt, nie były sztucznie pchane w objęcia nędzy. Zgadzamy się na to, iż nawet dziś, pomimo trudności stojących na przeszkodzie, obowiązkiem naszym jest myśleć o wynalezieniu środków dla zastąpienia jałmużny nastręczeniem pracy. Ale, zanim teoretyczne w tym przedmiocie rozprawy dojdą do jakiego konkretnego rezultatu, tysiące z głodu mrzeć będą — „zanim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje". Radźmyż więc, ale nim uradzimy, dajmy tym biedakom ciepłą strawę i chroniący od mrozu przytułek".

PRASA ROSYJSKA.

Petersb. Wiedomosti mówią zdziwione:

„Nawet w obecnej chwili — a obecna chwila chyba nie nadaje się wcale do wygłaszania skarg na ucisk polszczyzny, w łamach *Indépendance belge* rozbrzmiewają skargi na srogość naszego rządu, wyrażającą się jakoby w zamiarze zrządzenia szkody przemysłowi i handlowi w kraju zachodnim, a to przez zwinięcie warszawskiego banku polskiego i zamianę jego na oddział banku państwa. Nic nam nie jest wiadomem o istnieniu podobnego zamiaru w naszych sferach rządowych, ale o ile uzasadnionemi są w ogóle skargi na uciśniony stan przemysłu i handlu

w zachodnim kraju, można sądzić z urzędowych danych statystycznych o rozwoju przemysłu w Warszawie za jedenaście lat, od roku 1872 do 1883".

Petersb. Wiedomosti piszą o uroczystości welhradzkiej.

„Obecnie przygotowywa się nowy, świetny akt komedyi panslawizmu austryackiego z ogniami bengalskimi, fajerwerkami, biciem w dzwony i najmiłościwszem błogosławieństwem z Watykanu; przygotowywa się uroczystość polityczna nad grobem słowiańskiego apostoła św. Metodego, a przygotowują ją ci mianowicie, co zapomnieli i odstąpili jego prawosławnej (?) spuścizny. W tej to właśnie chwili na pograniczu prądów słowiańskich czystego i mętnego (!) w samej Rosyi rozlega się fałszywy głos, nazywający ten akt wiedeńskiej farsy ideałem federacyjnym i ironizujący nad duchowem ubóstwem swojej ojczyzny. Cóż bo w samej rzeczy, jeżeli nie farsa przygotowywa się około owego Welehradu, gdzie spoczywa słowiański apostoł i gdzie teraz ksiądz katolicki namawia swoich słuchaczów, aby padli na ziemię przed nieomylnym ojcem z Watykanu, gdzie nie ma nawet prawosławnej świątyni? Nieraz już powtarzaliśmy, że czczenie pamięci św. Metodego jest tylko pretekstem dla sprawy polsko-katolickiej; teraz zwłaszcza, kiedy przymierze trzech cesarzów dało nową, surową i po dawnemu bezpożyteczną naukę polskim mrzonkom, potrzebna jej jest wspaniała manifestacya przeciw Rosyi. „„W świeckiej części uroczystość — mówi M. Kojałowicz w *Cerkownym wiestniku* — ma spełnić beznadziejne zadanie: pokazać światu pełnię słowiańskiego życia u słowian zachodu, jego zubożenie wśród rosyan i innych słowian prawosławnych. Wielka ta słowiańska uroczystość ma zadość uczynić dumie latynizmu i dumie zachodnio-europejskiej cywilizacyi, przyswojonych przez słowian zachodnich."" A dowody mają być złożone w szerokich rozmiarach. Nowy Wielehrad — czytamy dalej — powstał w r. 1202-im, i jak słuszną robi uwagę p. Budiłowicz, w żaden sposób nie mógł tu być pochowany św. Metody, który zmarł w kwietniu r. 885-go. Tymczasem właśnie tu ma być obchodzoną uroczystość jego; tu pobudowano 30,000 baraków dla spodziewanych pielgrzymów, tu nastąpi przyjacielskie spotkanie polaków, czechów, chorwatów i innych, najdzielniejszych adherentów starej jagielońskiej idei i małoletniego austryackiego panslawizmu. Tu wypowiedziane będą federacyjne mowy, tu ogłoszone będzie zjednoczenie słowian pod egidą watykańską—i cicha (prawdopodobnie) anatema „„schizmatyckiej"" Rosyi. Obecna chwila stosunków rosyjsko-słowiańskich jest w najwyższym stopniu ważną. Doszliśmy do granicy. Z jednej strony tej granicy stoi słowianofilski sentymentalizm, który zamykając na wszystko oczy, gotów był w każdej chwili przelewać drogocenną krew rosyjską w obronie jakiejbądź słowiańszczyzny. Z drugiej, która zaczęła się wyjaśniać po kongresie berlińskim i po wielokrotnych przebieraniach austryackiego panslawizmu, stoi jasne i stanowcze pojmowanie prawdziwych obowiązków i interesów Rosyi."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Termin ostatecznego usunięcia marek pocztowych dawnego stępla przedłużono do 1 lipca r. b.

Pierwsza wyprawa polska do Afryki liczyć już będzie tylko jednego członka, samego wodza, gdyż ostatni jego towarzysz p. Janikowski wraca do kraju. Dobrze robi.

Zastosowanie elektryczności w rozpoznawaniu pozornej śmierci znowu zostało podjętem i podobno szczęśliwie wykonanem przez dr. Bucha. Wykrył on, że pod działaniem prądu, temperatura ciała umarłych nie zmienia się, u letargicznych zaś podnosi się.

Rusinki galicyjskie zaczynają zawiązywać stowarzyszenia, mające na celu kształcenie kobiet, uszlachetnianie stosunków rodzinnych i wzmacnianie czci dla ideałów narodowych. Pierwszy taki związek powstał w Stanisławowie pod kierownictwem Natalii Kobryńskiej.

Spółka nakładowa warszawska przystąpiła do przekładu i wydania dzieła Brandesa o nowszej literaturze francuskiej, które stanowi tom piąty jego *Głównych prądów*.

Nouvelle Revue, które niedawno narobiło wrzawy artykułem o dworze berlińskim, drukuje obecnie *Société de Vienne*, za co zostało w Austryi skonfiskowanem.

Miłosierdzia panowie czciciele ojczystego języka! Jak można pisać: „Kierujący *sekcyą finansów* Królestwa polskiego Żukowski *przydzielony* został ministrowi skarbu?" Jak można tak pisać w dzienniku, posiadającym najszersze koło czytelnicze. Już nam nie idzie o perły stylistyczne tej wartości: „pierwszego dnia wzniosą się *w kierunku*, zastosowanym *do kierunku...*" ale cudactwa, dziwolągi... Przecież ten biedny a piękny język ma prawo do szacunku tylko... naszego.

Trzęsienie ziemi w Hiszpanii sprawiło straszniejsze spustoszenia, niż pierwotnie przypuszczano. W prowincyach Maladze i Granadzie zginęło blisko 300 osób. W Granadzie pochyliła się fasada katedry; katedra w Sewilli uszkodzona. Benajorza, Albuniuelas, Laforania zniszczone. W Estepona runął kościół. W miasteczku Alhama wygrzebano już przeszło 200 trupów. Szczególnie ucierpiało miasto Antequera. W Albance utraciło życie 300 kilkadziesiąt ludzi; w Albaquero 200. Połowa miasta Velez, liczącego 30,000 mieszkańców, zburzona. Ofiar i zdruzgotanych budynków trudno dziś zliczyć. Wiadomo tylko, że klęska przerażająca. Według ostatnich depesz zginęło około 2,000 ludzi.

Akademia Krakowska. 20 grudnia odbyło się posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego. Dr. Korczyński przedstawił dzieło, wydane właśnie o Janie Brożku (J. Broscius 1585—1652) i XII tom rozpraw. Do komisyi redak. odesłano rozprawę Stodołkiewicza: „O równaniu różniczkowem linijnem Pfaffa."

— Godność prezesa powierzono nadal Majerowi.

Biuro prasowe. Namiestnictwo lwowskie ma utworzyć biuro prasowe pod dyrekcyą Br. Łozińskiego. W jakim celu?—Niewiadomo i wyjaśnić sobie trudno. Oj ten p. Łoziński!

Koleje. Wedle centralnego organu ministerstwa handlu rozdano w 1884 roku 11 koncesyj kolejowych dla Galicyi. Dotąd żadna z tych linij nie buduje się.

Wystawę „dzieł i szkiców artystów polskich—i pozostałej po Redlichu spuścizny" „na dochód wdowy po b. p. artyście" urządza w połowie stycznia b. r. Koło literacko-artystyczne we Lwowie.

Wyprawa naukowa do Małej Azyi, którą odbył hr. Lanckoroński w towarzystwie uczonych i artystów, powróciła. Brali w niej udział dr. Maryan Sokołowski i malarz Malczewski.

Nowe pismo. We Lwowie wychodzić będzie pod redakcyą dr. Rutowskiego ekonomiczny tygodnik, poświęcony rolnictwu i przemysłowi krajowemu. Zapomogę daje Wydział krajowy.

Konfiskata. Pisma galicyjskie ulegają od 1 stycznia ciągłej konfiskacie. Widocznie prokuratorya dostała *Wink von oben*. Numer noworoczny *Gaz. Narod. Dziennika Pol.* i kilku innych skazano na zniszczenie.

Debit w Austryi utraciły od stycznia następujące pisma polskie: brukselski *Demokrata polski* i *Wytrwałość*, nowojorskie *Echo z Polski*, paryskie *Wiadomości polskie* i *Kuryer paryski* zurychska *Ojczyzna*, genewski *Przedświt i Równość*, chełmiński *Nadwiślanin*, warszawski *Zwiastun ewangielicki*. A to co znowu? Czemże ten *Zwiastun* tak zagroził monarchii habsburskiej?

Pomnik Mickiewicza. Nadesłano dotąd 10 modeli. Do sądu konkursowego wybrano: Jana Matejkę, Sławomira Odrzywolskiego, Tomasza Prylińskiego, Maryana Sokołowskiego z Krakowa, prof. Juliana Zacharyewicza ze Lwowa, Konstantego hr. Przeździeckiego z Warszawy, Augusta hr. Cieszkowskiego z Poznania, Antoniego Romera z Wilna. Na zastępców: Pawła Popiela z Krakowa, Henryka Rodakowskiego ze Lwowa, Karola Matuszewskiego z Warszawy, hr. Sierakowskiego i Pawłowicza. Z za granicy: Dupuis, hr. Lanckoroński i prof. Zumbusch, a na zastępcę prof. Heller. Członkowie sądu konkursowego zbiorą się w połowie lutego w Krakowie.

Emilian Broniewski. *Tablice graficzne do dziejów powszechnych.* Arkusz IV, wiek XI i XII. O pierwszych zeszytach tego pracowitego dzieła wspominaliśmy już w *Prawdzie*. Dobre chęci i cierpliwość autora zasługują na uznanie, ale wątpliwem jest, czy je okupi pomyślny rezultat. Metoda graficzna ma na celu ułatwienie uczenia się i zapamiętywania, ale dotychczas stosowano ją w historyi bezskutecznie. Praca p. Broniewskiego posiada przytem inną jeszcze wadę — jest nią zbytnie nagromadzenie szczegółów. Człowiek dojrzały, studyujący dzieje, nie potrzebuje wcale takich ułatwień; uczeń zaś nie może i nie powinien obciążać sobie pamięci całą masą dat i imion.

Zmarli. Filip Sulimierski.

— Gustaw Piotrowski, profesor fizyologii i mikroskopii w uniwersytecie Krakowskim, członek Akademii, 2 stycznia. Piotrowski ur. 1883 w Tarnowie, w 1865 ogłosił dzieło p. t. „Fizyologia ludzka w zarysie."

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Декабря 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.